MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VIII. Nr 4 (Nr 3 skonfiskowano) WARSZAWA, 1 LUTEGO 1928 R. CENA NUMERU 1 zł.

FRANCJA I WŁOCHY

NIE jest wcale rzeczą pewną, że rokowania, wszczęte między rządami francuskim i włoskim, doprowadzą rychło do formalnego zbliżenia między dwoma państwami. Można natomiast twierdzić z całą pewnością, że współdziałanie polityczne narodów łacińskich leży w naturze rzeczy i że prędzej lub później musi się ono wyrazić w postaci formalnego sojuszu. Podstawą tego współdziałania będzie porozumienie francusko-włoskie, porozumienie dwóch narodów, które najwierniej reprezentują tradycje kultury i cywilizacji śródziemnomorskiej, tradycje Grecji i Rzymu. Francja i Włochy, zjednoczone we wspólnem działaniu politycznem, stałyby się ośrodkiem krystalizacyjnym dla narodów łacińskich i dla narodów, wychowanych na kulturze łacińskiej.

Dziś panuje w polityce europejskiej przeświadczenie, że można zabezpieczyć warunki pokojowej pracy i rozwoju przez gwarancje międzynarodowe i układy arbitrażowe. Przeżywamy najwyższe napięcie wiary w metody „genewskie". Szczególnie gorliwych wyznawców posiada ta wiara we Francji. Widzimy jednak szereg znaków na ziemi i niebie, zapowiadających zmierzch okresu „genewskiego" i powrót do zasady równowagi sił politycznych, niemożliwej do uniknięcia w polityce, podobnie jak nie może być pominięte w fizyce prawo ciążenia. Skoro zaś przekonają się narody o tem, że gwarancje na piśmie nie mogą im zabezpieczyć ani granic, ani niezależności, wówczas zaczną szukać sojuszów i porozumień, opartych na wspólności interesów i na obawach przed temi samemi niebezpieczeństwami. Przyjdzie wówczas chwila na sojusz francusko-włoski, oparty na porozumieniu co do spraw śródziemnomorskich i współdziałaniu nad Renem.

Powody natury czysto politycznej nie są wszakże jedynemi wśród tych, które stwarzają podstawę do zbliżenia francusko-włoskiego. Jeśli powiedzieliśmy, że leży ono w naturze rzeczy, to mieliśmy na myśli fakt głębokiego kryzysu, przez jaki przechodzi Europa, kryzysu całej kultury i cywilizacji naszej części świata. Jest on następstwem zapanowania materjalizmu i wysunięcia na plan pierwszy interesów jednostki, zapomnienia natomiast o czynnikach duchowych i interesach zbiorowych. Kryzys ten dopiero się rozpoczął, wielka wojna europejska była jego przejawem a nie przyczyną. Narody Europy mają jeszcze przed sobą długi okres ciężkich walk i przełomów. Złudzeniem jest przypuszczenie, że idziemy ku normalizacji i ku powrotowi do stosunków przedwojennych. Wiek XIX był wiekiem rozwoju tych narodów, u których materjalizm i indywidualizm doszedł do najwyższego napięcia, były to narody protestanckie, w pierwszym rzędzie Anglja i Niemcy. Dziś widzimy, że te właśnie narody przechodzą najsilniejszy kryzys, nietylko państwowy, lecz także gospodarczy i pojęciowy. Gdy rysują się sklepienia ideowe, które podtrzymywały gmach kultury i cywilizacji wieku XIX-ego, odczuwają to najdotkliwiej te państwa, które właśnie na tych ideach oparły się najsilniej.

W dziedzinie ideologji zaznacza się wyraźnie zwrot wstecz, ku średniowieczu i ku światu starożytnemu, co — łatwoby to było uzasadnić — nie zawiera żadnej w sobie sprzeczności. Gdy umysły nowych pokoleń zwrócą się ku pierwiastkom duchowym i ku postawieniu na pierwszym planie interesów zbiorowych, wówczas przyjdzie czas na narody kultury łacińskiej, na narody wyrosłe w tradycjach Rzymu i Kościoła katolickiego. Narody te wszakże będą mogły odegrać swą rolę dziejową tylko wówczas, jeżeli potrafią skupić swe siły i zdobędą się nu to, by ponad swe interesy ściślejsze postawić interesy kultury i cywilizacji, których są spadkobiercami i twórcami. Kulturze tej zresztą zagrażają dziś liczne niebezpieczeń-

stwa—że wymienimy tylko bolszewizm i odrodzenie ludów Azji—uratować ją od zagłady może tylkowielki i rozumny wysiłek i ofiarność narodów cywilizacji zachodniej.

Rozumie chwilę dziejową i wielkie prądy dziejowe kierownik polityki Włoch współczesnych, jak to widać z jego oświadczeń i z jego polityki. Potrafi on za sobą pociągnąć naród, który go obdarza zaufaniem. By polityka francuska zwóciła się w tym samym kierunku, na to potrzeba, by nawiązała ona do swych historycznych tradycyj. W miarę zrywania z ideologją wielkiej Rewolucji, w miarę poddawania rewizji przykazań „postępu", w miarę odradzania się uczuć religijnych będzie Francja zbliżała się do Włoch. We współdziałaniu zaś narodów łacińskich ma Francja do odegrania wielką i konieczną wprost rolę, we Francji bowiem żyje przedewszystkiem to, co wniosła do kultury śródziemnomorskiej Grecja.

Jeśli zaś tak się ktoś zapatruje na przyszły rozwój stosunków w Europie, to koniecznem z tego wnioskiem być musi, że jeśli Polska chce być siłą twórczą, jeśli chce współuczestniczyć w budowaniu nowej Europy, to musi pozostać wierna swej tradycji, musi utrzymać i wzmocnić swój związek ze światem zachodnim, z narodami, które Kościół katolicki i Rzym starożytny wychował.

Tak wiąże się polityka bieżąca z naistotniejszemi zagadnieniami kultury i cywilizacji. Tylko wtedy przestaje ona być szeregiem nieskoordynowanych odruchów, pospolitem krętactwem i fałszywą grą, a staje się działaniem, służącem celom dalszym i wyższym, wypełnianiem dziejowej misji narodów.

STANISŁAW KOZICKI

PO POCHYŁOŚCI LIBERALIZMU

PRZED rokiem uśmiechano się w Polsce powszechnie na wiadomość, że Janusz książe Radziwiłł, poszukując skrzętnie po kraju zwolenników stronnictwa zachowawczego, zjechał również do Łodzi i odbył tam swe misje w „starożydnym", jak pisał któryś z dowcipnisiów, pałacu pp. Poznańskich. Uśmiechano się oczywiście z takiej symbjozy arystokracji z perwenjuszami, ale naturalnie, sedno rzeczy nie leży wcale w tem, że ów pałac narad był „starożydny".

Za czasów austryjackich był burmistrzem w Buczaczu niejaki p. Bernard Stern, zwykły sobie małomiasteczkowy żyd polski. P, Stern bywał dość często we Lwowie i za każdą swą bytnością nie omieszkał zameldować się na audjencję do namiestnika Andrzeja hr. Potockiego, a gdy go z uśmiechem pytano, co za ciągłe interesy ma do hrabiego, odpowiadał z powagą:

— Pan miszli, że my, krakowskie konserwatysty, nie mamy ze sobą nic do pogadania?

Bernard Stern, przywiązany do swego Buczacza, pokazywał z dumą przyjezdnym świeżo wysadzoną drzewkami dróżkę nad Strypą i mówił: „Pan Dobrodziej był w Karlsbadu? No, to u nas w Buczaczu niedługo będzie może fajniejsza promenada, niż w Karlsbadu", dając tem wyraz swemu pragnieniu podniesienia Buczacza do najwspanialszego wzoru, jaki w życiu widział. Mógł być konserwatystą i kpiny z jego poufalenia się z arystokratycznym stańczykiem miały raczej konwencjonalny charakter. Czy natomiast poszukiwanie w Łodzi, wśród wielkich przemysłowców, oparcia dla dążeń zachowawczych jest usprawiedliwione? Według starych, popularnych schematów klasyfikacji społecznej niewątpiiwie tak, ale popularne schematy rzadko kiedy mówią prawdę, a dzisiejszy industrjalista, „kapitan przemysłu" różni się zasadniczo i w wielu rzeczach od patrjarchalnego „patrona", owej dawnej ostoi konserwatyzmu. Nacjonalizm polski, chcąc unikną zawodów, musi sobie jasno zdawać z tego sprawę.

Dotychczasowe doświadczenie wykazuje, że przemysł chętnie wyzyskuje naturalną troskę zywiołów patrjotycznych o dobro gospodarstwa narodowego, potrafi przyznawać się do postulatów ogólno-narodowych, o ile chodzi o osiągnięcie ulg, albo uniknięcia jakich ciężarów, jednakże z ruchem narodowym często bardzo idzie nieszczerze, niejednokrotnie gotów opuścić go wpół drogi, a o ile stwarza własne organy publicystyczne, to mają one niemal bez wyjątku tendencje radykalne i kosmopolityczne we wszystkiem, co wychodzi poza najbliższy interes materjalny fabrykanta. Dość rozejrzeć się w pismach wydawanych, lub subwencjonowanych przez przemysł w Warszawie czy Łodzi, ażeby się przekonać, że prasa ta wykazując tendencje „wsteczne" w jednej kategorji zagadnień (tej która bezpośrednio zagraża kieszeni np. w ustawodawstwie społecznem), w innych dziedzinach, np. obyczajowej, sztuki, polityki międzynarodowej i t. p. nietylko ujawnia, lecz wprost propaguje najskrajniejszy „postęp", radykalizm, międzynarodowość... P. Poznański, urządzający rauty dla przedyskutowania razem z księciem Radziwiłłem zasad organizacji zachowawczej, nie gniewa się bynajmniej na kuzyna swego, wydającego ultraradykalną „Republikę". Ten stan rzeczy ma oczywiście swą przyczynę zasadniczą, sprowadzającą się poprostu do tego, że industrjalizm nowoczesny nie jest bynajmniej czynnikiem konserwatywnym, przeciwnie podważa on podstawy naszej cywilizacji: religję, rodzinę, narodowość akurat taksamo, jak to czyni socjalizm. Zostawmy tylko wolną rękę industrjalistom, a otrzymamy w rezultacie taki sam typ społeczeństwa, do jakiego dążą socjaliści; różnica będzie przedewszystkiem ta, że w socjalistycznym ustroju cała władza będzie należała do urzędników państwa, w kapitalistycznym zaś do urzędników światowych *trustów*...

Jakiż jest stosunek industrjalizmu do religji? Pozornie naturalny. Podobnie, jak socjaliści dzisiejsi, wodzowie przemysłu ogłaszają religję za „rzecz prywatną", lecz ta naturalność kryje taksamo, jak i u socjalistów, stosunek wyraźnie wrogi. Kiedyś, w pierwszych czasach gospodarki kapitalistycznej przedsiębiorca wiele korzystał z nauki o słusznej hierarchji społecznej, głoszonych w kościele. Dla dzisiejszego „kapitana przemysłu" to są faramuszki: stosunek robotnika do przedsiębiorcy ma się normować wzajemnym stosunkiem siły odpowiednich związków zawodowych, a nakazy moralności chrześcijańskiej do zbyt wielu rzeczy obowiązywałyby przedsiębiorcę,

żeby się miał na nie powołać. Chrześcijanie od dwudziestu wieków modlą się najpierw o przyjście Królestwa Bożego, a porem dopiero o chleb powszedni; dzisiejszy system gospodarczy ma tendencję nietylko odwrócenia kolejności, ale całkowitego poniechania starań o Królestwo Boże na ziemi i zastąpienia go właśnie chlebem powszednim (zresztą nie dla wszystkich jednakowego gatunku), tak jakgdyby to były rzeczy współmierne. Jako najwyższe bóstwo, któremu mają ulegać i ustępować wszystkie inne względy, dzisiejszy „amerykański" mąż stanu uważa „interes produkcji" (chociażby to była produkcja fałszywych pereł) i wobec tego interesu wszystkie nakazy moralne zostały zawieszone, a trzymane w mocy są tylko wymogi celowości.

Na handlu z bolszewikami można dobrze zarobić (tak się przynajmniej zdawało), rzucono więc hasło: starajmy się jeden przez drugiego o ten handel. Że tam zapłacą złotem, ledwie obeschłym z krwi, to już drobnostka, *non olet*. Celowe jest uczynienie zmowy i zrujnowanie konkurenta, więc róbmy zmowę, nie podlega przecież karze, jak np. zasadzka w noc ciemną na drodze. Celowe jest wyzyskanie złej konjunktury na rynku pracy, urządzenie *lock-outu* i zmuszenie robotników do pracy za mniejszą cenę—róbmy to zawsze, jeśli tylko będzie dobra sposobność. Jasne jest, że wobec tego religja musi pozostać rzeczą prywatną, żeby jej nakazy w życiu publicznem wcale nie wchodziły w rachubę. Gdzież tu miejsce na jakieś nakazy moralności chrześcijańskiej? To „opjum dla ludów", mogące tylko zamącić racjonalne poglądy na interesy produkcji i chleb powszedni.

Opinja publiczna jest w znacznym stopniu zasuggerowana temi ideami. Przypomnijmy sobie dyskusję na temat zniesienia niektórych świąt katolickich. Cała sprawa traktowana była wówczas wyłącznie pod kątem widzenia próżniactwa: o świętach pisano i mówiono tylko jako o dniach wolnych od pracy, przeszkadzających produkcji; na to, że są to dni poświęcone pewnym wielkim wydarzeniom, wielkim i świętym ludziom, pewnym rozpamiętywaniom, bez których człowiek staje się zwierzęciem chlebożernem— na to wszystko nie zwracano uwagi wcale i zdaje się, niżej podpisany, pisząc w r. 1925 w „Myśli Narodowej" w obronie święta Matki Boskiej Gromnicznej, był jedynym, który użył argumentów religijnych, nie zaś tylko ekonomicznych.

Druga sprawa niezmiernej wagi dla zachowania i rozwijania naszej cywilizacji, to sprawa rodziny. W publistyce polskiej dosyć o niej głucho dotychczas, ale milczenie to będzie musiało być przerwane, gdyż milczenie nie zapobiegnie i nie zaradzi temu, że rodzina przechodzi obecnie ciężki kryzys, na który trzeba szukać ratunku.

Przyczyny kryzysu są oczywiście wielorakie, ale pierwszą i zasadniczą jest ta sama choroba, na którą zginęły cywilizacje antyczne: naruszenie w życiu naszem koniecznej równowagi między duchem a ciałem, pewien przerost tego wszystkiego, co nazwać możemy ogólnie „kultem ciała". Kulturę antyczną zachowało dla nas chrześcijaństwo, które potrafiło zapanować moralnie nad barbarzyńcami, zalewającymi świat antyczny, gdy Rzym zdegerowany owym właśnie kultem ciała, nie był już zdolny ani moralnie, ani materjalnie przeciwstawić się zalewowi. Po pierwszem chrześcijaństwie i jego zbawczej idei ascezy, bywały i stany równowagi, było też kilka nawrotów i wahań w tę lub inną stronę; dziś można chyba bez obawy narażenia się na zarzut śledziennictwa twierdzić, że żyjemy w okresie, kiedy „ciało" ze wzmożoną energją sięga po pierwsze dla siebie miejsce. Wystarczy przypatrzeć się objektywnie zmianom obyczajowym, a kto nie ufałby swojej objektywności, niech porówna powieść z przed trzydziestu laty z dzisiejszą i traktowanie spraw erotycznych wówczas i dziś. Znawcy dopatrują się wielu analogij miedzy naszemi czasami, a schyłkiem wiekow antycznych. Nie mogę o tem sądzić, chciałbym jednak zwrócić uwagę na objaw obniżenia ideałów, tak trafnie niedawno podkreślony w „Myśli Narodowej" przez J. Rembielińskiego (art. „Świat maleńkich ideałów") w związku z uniesieniami sportowemi, usilnie u nas propagowanemi. Czy nie nasuwa to analogji z temi czasami rzymskiemi, w których mimo wysoko rozwiniętej filozofji, wspaniałej literatury i t. p. zwycięski gladjator stawał się bożyszczem i mógł sięgać po godność imperatora?

Ów pochód kultu ciała nietylko demoralizuje mężczyzn, ale pociąga również, może w większym jeszcze stopniu, kobiety, widzące w nim zwiększenie swobody, a nie dostrzegające tego, że przy zwycięstwie tego prądu muszą stracić stanowisko, na jakie wyniosło je chrześcijaństwo, i staną się napowrót tylko narzędziami rozkoszy, idąc w moralną poniewierkę u zbrutalizowanych mężczyzn. Na razie mamy wzmożoną u obu płci skwapliwość w wyzyskiwaniu materjalnych uciech życiowych i wyraźny kryzys rodziny. Przyczyna zła jest charakteru moralnego i takie też musi być na nie lekarstwo. Ustawodawstwo nie na wiele się tutaj przyda, a już pomysły ratowania rodziny przez rozluźnienie jej węzłów są właściwie nieporozumieniem.

Rozumowania powyższe mogą się wydać dygresją, oddaleniem od tematu, jednakże nią nie są, gdyż właśnie industrjalizm nowoczesny odegrał bardzo wybitną rolę w wytworzeniu tego prądu kultu ciała, który jest najbardziej charakterystycznym rysem moralnego oblicza naszych czasów. Kult ciała leży w interesie produkcji i w tym też interesie propaguje się go wszelkiemi możliwemi sposobami. Nieustanne zmiany mód (dawniej po modzie Dyrekrorjatu następowała moda Cesarstwa, dzisiaj moda zmienia się kilkakrotnie jednego sezonu), coraz to nowe (i coraz to mniej trwałe, a coraz droższe) materje co chwila nowe, nikomu niepotrzebne drobiazgi rozpowszechniane są umiejętną reklamą, a jednocześnie oczywiście pracuje się nad wyrobieniem w społeczeństwie ducha użycia, lekkomyślności i t.p., bez którego bardzo znaczna część „industrji" musiałaby zbankrutować i wziąć się do jakiejś nie tak lukratywnej, ale zato pożytecznej pracy.

Zawodowa praca kobiet, usilnie propagowana przez industrjalistów, groźnie podważa rodzinę, może nawet nie tyle sama przez się (gdyż za tę niedającą się zaprzeczyć swobodę, jaką niesle ona kobiecie, ze sfery inteligentnej, można i trzeba znaleźć kompensatę w postaci odpowiedniego postawienia kobiety w domu) ile raczej przez prowadzoną jednocześnie agitację, zmierzającą do wpojenia w kobiety przekonania, że uczenie cudzych dzieci gramatyki jest działalnością nieskończenie wyższą od kierowania krokami swoich własnych przy ich pierwszem rozglądaniu się po świecie.

Można przypuszczać, że dla nowoczesnego o „amerykańskim" pokroju industrjalisty rodzina stanie się niebawem przeżytkiem wprost szkodliwym, który należy zwalczać. Oczywiście, że konieczne będą w dalszym ciagu jakieś stadła (dobrane według zasad eugeniki), lecz oczywiście z rozrodczością przepisaną odpowiednio do zmian statystyki przemysłowej. Wychowanie dzieci w każdym razie musi być odebrane z niekompetentnych rąk rodziców i oddane zakładom specjalnym, które potrafią najlepiej rozwijać te zdol-

ności, jakie są właśnie w tej chwili konieczne dla dobrego funkcjonowania „produkcji". W każdym razie ukazujące się coraz częściej w prasie zachwyty nad świetną organizacją społeczeństw termitów czy pszczół są dosyć podejrzane.

Co do narodowości, to już niema żadnej wątpliwości, że jest ona dla industrjalisty przeszkodą i złem niebylejakiem. Świat przecież powinien być podzielony według produkowanych surowców oraz według warunków, jakie przedstawiają jego poszczególne części dla rozwoju tej lub owej produkcji. Jakikolwiek inny podział, a już tembardziej granice, na których mogą być pobierane cła, nie będące na rękę temu lub innemu *trustowi*, są oczywiście okropnością; o jakichś ambicjach narodowych nawet wspominać nie warto, należałoby je poprostu wypalać rozpalonem żelazem. Złota międzynarodówka, kapitał bankierski do którego przechodzi powoli władza nad światem, wystąpił już raz w tym duchu z manifestem do narodów. Na razie jeszcze nie odniosło to skutku, grunt nie jest dostatecznie opanowany, ale oczywiście praca nie została bynajmniej poniechana. U nas p. Dewey główny nacisk kładzie na rozwój rolnictwa.

Jasne jest, że nowoczesny „kapitan przemysłu" łatwiej często porozumie się z radykałem, niż z narodowcem, który z natury rzeczy musi być w tych podstawowych rzeczach zachowawcą. Jasne jednak jest również, że nacjonalista musi program swój w dziedzinie społeczno-gospodarczej ustalić w ten sposób, żeby podstaw, na których wyrosła nasza cywilizacja, nie obalać. Życie gospodarcze musi podlegać wyższej dyscyplinie moralnej; jego rozkwit musi przyczyniać się do rozkwitu cywilizacji narodowej, a nie do jej obniżenia. Poniechanie starań o przyjście Królestwa Bożego na ziemię jest równoznaczne z zagładą ludzkości, a święta „bankowe", wprowadzone obecnie w Anglji, nie mogą stanowić właściwej kompensaty za znoszone święta katolickie. Chrystus wypędził bankierów ze świątyni. Rodzina jako zasadnicza komórka społeczeństwa, ostoja moralnej równowagi narodów, musi być utrzymana i udoskonalona. Nie możemy wyrzec się narodowości, chociażby na tym naszym uporze miała tracić sprawność wymiany towarów.

Mimo wyraźnie już okazującej się niezdolności systemu liberalno-wielkokapitalistycznego do zaspokojenia nietylko moralnych, ale nawet materjalnych potrzeb świata, dawna suggestja kapitalistycznego liberalizmu trwa jeszcze nadal, fetysz bezimiennego interesu „produkcji" odbiera ciągle jeszcze cześć boską, a mało kto przygląda się baczniej dzisiejszemu charakterowi tej produkcji, jej celom, drogom i skutkom.

Krytyka przeżytków liberalizmu ekonomicznego jest pilnem zadaniem nacjonalizmu.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

ZGASZENIE KRAJOBRAZU

(Dokończenie)

Wskutek pomyłki przy dzieleniu tego artykułu na części, dwa ustępy z zakończenia części 2-ej dostały się na koniec cz. 1-ej, danej w poprzednim zeszycie (od słów: „Mylą się np. urbaniści"). Czytelnicy raczą w zesz. 2 te ustępy wykreślić; powtarzamy je we właściwem miejscu w zeszycie obecnym.

ROZPATRZMY obecnie stosunek jednostki ludzkiej do przyrody. Wbrew Lippsowi, który w zgodzie ze swem czysto psychologicznem ametafizycznem stanowiskiem, nie czyni żadnej różnicy między odczuwaniem estetycznym przyrody martwej a ożywionej — stosunek ten musi ulec zmianie zależnie od tego, czy idzie o osoby czy o rzeczy. Wprawdzie widok chmur oświetlony słońcem daje doznanie estetyczne o wiele intensywniejsze, niż widok mrówki — widok pustyni, gór skalistych czy morza wspanialszy i bardziej wstrząsający jest niż widok ogrodu warzywnego — ale też zarazem o wiele bardziej narażony na sceptycyzm myśli szukającej „prawdy", „życia" tych rzeczy, obciążony skazą „nierzeczywistości". A przecież czujemy się w nich nie raz bardzo intymnie, bardzo zrozumiale, nie swojskością przytulną i pospolitą, ale swojskością pełną tajemnicy — (tak „swojsko" jest dziecku w bezpiecznem zamczysku bajki) — i pełną jakby jakiegoś wielkiego żalu... Zdumiewamy się nad dziwnem, tajemniczem pokrewieństwem między jakiemiś najgłębszemi tęsknotami w nas, a siną oddalą horyzontu.

Słowacki rozwiązał sobie to przeciwieństwo między bezdusznością rzeczy w przyrodzie, a tem niby „krewieństwem" naszej duszy z niemi. Wyrugował ze swego poglądu na świat materję, jako samoistną substancję: materja jest pewną formą duchowości[1])— (a w intnicji tej uprzedził poniekąd współczesne tendencje myśli fizykalnej, ku utożsamieniu pojęć energji i materji); pierwszy moment szczytowej i centralnej jego myśli, że „wszystko istnieje [I] z ducha i [II] dla ducha"—jest wyrazem jego estetycznego stosunku do przyrody; pogląd na świat Słowackiego jest światoglądem artystycznego spojrzenia; jest to metoda ochrony piękna przed rozpraszaniem się.

Z pewnością, nasze pragnienie świata takiego, abyśmy mogli go jaknajpiękniej odczuwać, samo przez się niczego nie przesądza, o niczem nie zapewnia: filozofja na niem zbudowana, sama przez się, w sposób niewątpliwy — nie jest jeszcze prawdziwą. Ale wolno spytać: Dlaczego rzeczywistość ma znajdować się poniżej naszych porywów? Dlaczegóż rzeczywistość ma być mizerną, a nie nieskończenie bogatą? Dlaczegóżby rzeczywistość nie miała pozwolić sobie na coś, wobec czego nasze najwspanialsze marzenia, to zwoje dymku papierosa wobec skrętów najstraszniejszego z cyklonów oceanicznych to niewinny wyraz niemowlęcego przestrachu wobec rozszalałych mas wodnych Niagary? Dlaczegóżby rzeczywistość, którą stać było na osobę człowieka, nie miała wytrysnąć nieprzebraną liczbą i hierarchją osobowości poniżej nas i powyżej nas? Dlaczegóżby rzeczywistość miała konstruować się wedle praw rzeczy — a nie wedle praw osoby? A w takim razie dlaczegóżby najlepsza doświadczalnie metoda ochrony (lub modlitwy) — piękna przed rozprężaniem się — nie miała być najlepszą metodą dochodzenia prawdy?

Któż na te pytania odpowie? Nauka coraz częściej potwierdza fakty, stawia hypotezy, zatrzymuje się przed trudnościami, które sprzeciwiają się pojmowaniu świata, jako „mechanicznej wytwórni zdarzeń"... ale nauka nie wiele mówi; więc któż odpowie?...

Odpowie ubóstwo albo bogactwo. Ubóstwo z pasją rzuci się na obraz takiej rzeczywistości, którąby pozwoliła sobie na osobistości bez miary większe, niż

[1]) „Lecz my, którzy uczuliśmy, że materja jest dziecklem ducha naszego"... (List do Rembowskiego).

człowiek; z pogardą spojrzy na obraz przyrody, w której człowiek nie jest sam jeden, ale otoczony nieprzebranym oceanem podobieństwa; ubóstwu te obrazy wydadzą się rysunkowo nieczyste, wydadzą się niewygodne, rozbijają bowiem sześciany każdej schematycznej klatki na życie — są zbyt pełne życia. Ale bogactwo, samo sobie przypatrzy się i znajdzie metody swego własnego zachowania i rozwoju, zaś ufne w sobie, samo siebie mając za dowód, radośnie zaufa rzeczywistości, którą stać na porywy najwyższe — jeśli ją stać było na naszego ducha, na świat wokoło nas, tak nieprzebranie bogatem i rozrzutnem kipiący życiem.

Oddawna rozstaliśmy się z naiwną wiarą w „harmonję" w przyrodzie—nie tyle wiarą, ile samoobłudą[2])—z przekonaniem o doskonałej celowości wewnętrznej i zewnętrznej w przyrodzie. Dziś świat tętni nam walką, owiany jest grozą; badacz odsłania nam stosunki między gatunkami, jakby pomyślane przez demona okrutnego a inteligentnego; celowość jest jakby naszkicowana tylko w grubych zarysach, pełna niedociągnięć i zaniedbań; pełen logicznych sprzeczności jest stosunek między gatunkiem a osobnikiem—i nigdy nie jesteśmy pewni, na kim przyrodzie zależało, na jednostce czy na rodzaju? Nie wiemy zresztą dokładnie, jakie są granice między osobnikiem a rasą, wszystko zatapia się w dwuznacznym mroku tajemnic; w mroku, dla nas niepowrotnie, zatopił się obraz ładu naturalnego świata — świata, co jest poniżej norm naszego najczystszego człowieczeństwa.

Dlatego nie poprzez przyrodę naprost, bezpośrednio, wiedzie droga współczesna ku religji (*nb.* jedna z dróg); to droga okrężna: ona idzie na tajemnicze związki między duszą człowieka a rzeczami w przyrodzie, na bogactwo widziane kształtów—(na ten niesłychany *élan formal*, jak się ktoś, trawestując Bergsona, wyraził)—i na bogactwo przeczuwane życia osobowego, którem się świat przepełnił bez miary. Bogactwo przeczuwań jest samo sobie dowodem, że rzeczywistość jest bogata: bogactwo nigdy nie uwierzy, by rzeczywistość miała być tak skąpa, tak ciasna, tak banalna, by brakło w niej miejsca dla Boga.

Przyroda nie jest czynnikiem bezpośrednio wiarotwórczym, ale materjałem dla procesu psychicznego, który na niej wzmaga się i ożywia, by dalej pobiec, ku nowym wartościom.

Gdy wartości religijne—których najogólniejszym, ale nie pseudomorficznym kształtem jest owo „zaufanie do rzeczywistości" — przyjmie się jako daną stałą w psychice, to pomiędzy niemi, a ożywionym stosunkiem do przyrody, zajdzie potrzeba logicznej i uczuciowej integracji — a to w dwuch kierunkach, zależnie od dwuch współczesnych pojmowań stosunku do przyrody: I) potrzeba uzgodnienia pesymistycznego poglądu na życie naturalne z zaufaniem do rzeczywistości; II) potrzeba ocalenia estetycznych wartości świata naturalnego wobec wartości religijnych, które z samej istoty swej są ekspansywne, imperjalistyczne, dążą do zagarnięcia całej duszy i kultury; ocalenie to nastąpi przez religijną racjonalizację wartości estetycznych, to znaczy przez wcielenie ich do konstrukcji religijnej jako logicznego składnika. Problematy te zaznaczam tylko pobieżnie, celem wskazania, że leżą one dziedzinie jeszcze ogólniejszej zagadnienia „wiara i kultura" — owego prawdziwie s f i n k s o w e g o zagadnienia cywilizacji chrześcijańskiej, na które współczesność nie może zwlekać z odpowiedzią. Wielkie zagadnienia życia każde pokolenie musi przerabiać po swojemu; ale nie należy przeoczać prób minionych. Z probl. I zmagał się żarliwie romantyzm[4]); probl. II zaś, u nas w Polsce, znalazł wielkiego nosiciela w Słowackim. Że nie idzie tu o żaden bezkrytyczny kult „wieszczów" zbędnie dodawać; ale to pewne, że umysłowość kulturalna zubożywszy się o romantyzm, pozbawiłaby się jednego z organów wyczucia spraw bardzo ważnych.

*

W dyskusji niniejszej o „miłości przyrody" wyszedłem ze społeczno-kulturalnego punktu widzenia[5]); do podobnego momentu wracam: Jeśli broni się tutaj pietyzmu dla krasy drzew — to w przeświadczeniu, że i to jest — *„ein Politicum"*; jeśli się broni tu romantycznego poglądu na przyrodę, poglądu w najogólniejszem i niekoniecznie w grubem znaczeniu animistycznego — to w przekonaniu, że udały na tym odcinku atak „nowej estetyki", rozwijającej sztandar przyrody „obrzydłej i postarzłej" — znakomicie ułatwiłby w opinji pochód owego „antykosmicznego" na świat poglądu, owej antymetafizyki, która niemniej metafizyką pozostaje, która wszelkim postaciom religji sprzeciwiając się z pasją, sama pozostaje jakimś „mętnym panteizmem siły i materji"[6]) a która jest oficjalnem wyznaniem wiary bolszewizmu.

Pozatem nie myślę traktować sprawy zbyt posępnie i rozumiem, że grupa młodych pisarzy, wywalczając uznanie dla swej nowej postawy artystycznej zawsze i wszędzie szarżuje; że takie szarże są nawet pożyteczne, o ile pobudzają do uświadomienia sobie wyraźniejszego wartości tradycyjnych i zrewidowanie ich; że wreszcie polemiki artystyczne w imię spraw kultury społecznej opierają się zawsze na przypuszczeniu, że sztuka i estetyka zdolne są przetwarzać głęboko psychikę mas, — więc na przypuszczeniu poniekąd fikcyjnem, przynajmniej w danym wypadku[7]).

Nie mniej jednak dwa pozostają względy, dla,

---

[2]) Chateaubriand gdzieś tam w *„Génie du Christianisme"*, na dowód jak celowy i ładny jest świat, podaje, że np. przel ty ptaszków są tak urządzone, iż w żadnej porze roku nie braknie ich na stół... Taką celowość i ład dawno oddaliśmy do graciarni.

[3]) Wspomniany już przezemnie O. Spann, drogę do Boga dostrzega wprost przez przyrodę, a raczej religijność jest mu podstawą uduchowionego poglądu na świat („oświeconego animizmu"): rzeczywistość indywidualna, o ile jest przejawem życia duchowego, musi sprowadzać się do czegoś, co jest w przyrodzie twórcze, znaczące wyższe, co stoi poza światem. Dlatego już skromne, proste a głębokie słowo poety rozlewa po świecie światło cudu, jeśli tylko poza jednostkowem i zewnętrznem wyrazić zdoła ogólne i wewnętrzne (na str. 338 i i.). Założenia Spanna są idealistyczne. — Punkt widzenia, który ja tu probuję wyrazić jest pragmatystyczny: pragmatyzmowi niesłusznie, mojem zdaniem, zarzuca się bezwarunkowy relatywizm poznawczy; opiera się on na irracjonalnym akcie zaufania w rzeczywistość: jej — *sit venia!* — „zależy" na najwyższych napięciach naszego duchowego życia; te idee, sądy, metody, które owych napięć bohaterskich bronią przed rozpraszaniem się, są w zgodzie z rzeczywistością, czyli są prawdziwe.

[4]) Istotą romantyzmu jest wahanie się między dwoma biegunami (tj. „sceptyczno-empiryczno-relatywistycznym" a „panteistycznym" poglądem na rzeczywistość). Bolesna walka o pozytywne pojęcie transcendentalne, o uspokojenie wewnętrzne i trwałą wiarę w nadprzyrodzone wypełnia romantyzm". (Spann, str. 352).

[5]) Patrz art. pt. „Przewietrzenie kultury" w nr. 22 z 1927.

[6]) Wyrażenie o „mętnym panteizmie" Spanna; o „antykosmicznym" i *quasi*-religijnym charakterze „metafizyki" bolszewickiej patrz w ciekawem studjum p. Konstantego Srokowskiego pt. „Elita bolszewicka" (Kraków 1927).

[7]) Mylą się pp. urbaniści, formiści, konstruktywiści i inni „technicyści", jeśli na serjo sztukę swą uważają za „proletarjacką"... O ile są utalentowani, to utwory ich spodobają się koneserom; ale sztuką dla ludu jest — jak się słusznie wyraził ktoś, sam nie wierzący — to kazanie niedzielne, co ludzi osowiałych od żmudy tygodnia, wstrząśnie i wzruszy Bogiem i szatanem, niebem i piekłem.

których terrorowi i suggestjom nowej sztuki przeciwstawić się trzeba całkiem stanowczo: 1) W atmosferze takiego terroru młode talenty, natchnione miłością przyrody, mogą wahać się, manjerować[8]), paczyć, nawet marnować się. Należy im się opieka od krytyki niesnobistycznej; 2) Jeśli nie chcemy, aby Ojczyzna nasza miała wygląd kraju bez duszy, to dbać winniśmy nietylko o szacunek dla starych ludzi, lecz i dla starych drzew.

Urbanista, jako symbol „człowieka nad przyrodą", wyobraża sobie np. kolejkę zębatą na Mnicha, za chwilę jednak wspaniałomyślnie cofa ten postulat. Czyżby pojął, że z udogodnień takich korzystałby przedewszystkiem ów mieszczuch wygodny, którego on też nie lubi, a dla którego przyroda jest tylko jedną więcej fizjologiczną używką? Wprawdzie, nie bez słuszności, czyni on aluzję ironiczną do romantycznego „posągu człowieka na posągu świata" — ale za to sam między symbolami „człowieka nad przyrodą" proponując „kolejkę zębatą", musi też zgodzić się na tę nieubłaganie z poglądów jego wynikającą konsekwencję, że tą „kolejką" jeździłby właśnie ów „mieszczuch opasły, we własnej wygodzie widzący kryterjum wszystkich wartości".

Wogóle znamienne jest dla młodych urbanistów srogich pogromców romantycznego kultu „bałwochwalstwa przyrody", że całe wzniesienie się człowieka ponad przyrodę mierzą całkiem sobie poprostu miarą długości.

I nie tylko to jest naiwne; cały ten technicyzm jest w gruncie rzeczy romantyzmem swego rodzaju, romantyzmem naiwnego zdumienia i zachwytu wobec wszystkiego, co samo się rusza, trzaska, puka, romantyzmem pięcioletniego chłopaka, dla którego ideałem człowieka jest konduktor kolejowy lub owych kobiet z Jawy, które boga płodności czczą... w armacie.— I to nawet może nie jest najgorsze w „nowej estetycznej" postawie. Pod czas boleściwej poromantycznej maniery Młodej Polski, młodzieniec piszący lubował się w takich tematach, jak legendarny Ikar z połamanemi skrzydłami. Czyż nie jest bezwzględnie zdrowszym i słuszniejszym temat Ikara prawdziwego i zwycięskiego? Jeśli piękny jest ptak w bezmiernej wysokości lecący po pustem niebie, to dlaczegoż pięknym i piękniejszym nie ma być człowiek — ptak, samotnie i nieustępliwie pomiędzy dwoma otchłaniami żywiołów nieludzkich, zdążający ku kresowi, który sam sobie ustanowił? Ale w tem cała rzecz, na czem właściwie spoczywa nasza kontemplacja estetyczna (nie żaden tam „kult") przyrody i pracy człowieka: Czy na powierzchni, przejawach, wytworach, czy też na głębi, treści, na samej istocie *virum vitalium* kosmosu? Bo wtedy dopiero znajdzie się w niej miejsce nietylko dla skowronka i dla torpedy na księżyc, lecz i dla wielu spraw, których nie zmierzy się ani metrem, ani kalorją... O ileż bardziej uroczystym, znaczącym, żywszym, pełniejszym, soczystszym był świat tej starej Jamrózki z Raby Wyżnej, którą słyszałem — zanim opowiedzieć miała coś nieprzystojnego — mówiącą „z przeproszeniem słońca i Pana Boga i państwa" — niż tamten chudy „nieromantyczny" świat inteligentów, świat rozkładu przyrody na martwe rzeczy, świat „antykosmiczny", w którym człowiek jest takim samym absolutem samotności, jak komar snujący się po swych fatalnych zwikłanych linjach.

W czasach rozpanoszonego chamstwa niebezpiecznie byłoby dopuścić do opanowania opinji publicznej przez hasła takie, jak pisarzy „Zwrotnicy"; mogłyby one być wzięte dosłownie i gotowiby mieszczuchy ze swemi pierzynami powdzierać się na szczyty Tatr i pozaśmiecać je łupinami z jajek na twardo... Trzeba bronić krajobrazu przed zaśmieceniem, wyniszczeniem, zgaszeniem.

Pamiętajmy: Sztuka polska żadnej innej dotychczas nie dała się wyprzedzić w pięknie wyczuwania i wyrażania przyrody i człowieka, co bliski niej. „Ziemia, prosty człowiek i Bóg" — te trzy rzeczy zrozumiał Wokulski; te trzy rzeczy dają sztuce naszej melodję, myśl i poryw. I jeśli sztuka nasza ma być czynnikiem naszej kulturalnej ekspanzji, zwłaszcza śród pobratymców — to nie może wyzbyć się tego, co nas obrzeża urokiem rasowego charakteru".

KAROL LUDWIK KONIŃSKI

[8]) Że groźne bywa to zmanierowanie talentu, świadczy chociażby powieść p. J. Kurka „Z. O. S." czupurnego „antynaturalisty", w której pośród rzeczy estetycznie niezrozumiałych znajdujemy złote ziarna prawdziwie poetyckiego oglądu przyrody.

LEOPOLD STAFF i JAN KASPROWICZ

Z POWODU „UCHA IGIELNEGO"

O NOWYM zbiorze poezyj Leopolda Staffa p. t. „Ucho igielne" daliśmy w „Myśli Narodowej" krótką wiadomość (ob. nr. 1 z rb.) w związku z informacją, że znakomity poeta otrzymał za tę książkę nagrodę państwową. Jest to odznaczenie zasłużone: Staffowi, jako artyście słowa, należy się między poetami żyjącymi pierwsze miejsce.

Staff, podobnie jak Kasprowicz, o lat osiemnaście od niego starszy, uznawał zawsze poezję za los swego życia i wyłącznie (wyjąwszy pracę zarobkową) jej się oddawał. Dzieło ostatnie ma poza sobą dwadzieścia pięć innych. W dziejach poezji polskiej Staff zajmuje stanowisko wybitne, wyznaczane zwykle koło Kasprowicza, z którym się przyjaźnił, pracując obok niego we Lwowie. Fakt tej życiowej styczności narzuca czytelnikowi pytanie, ile ci dwaj poeci mają w sobie wspólnego, czem się różnią jako indywidualności.

Bezwątpienia Staff, który począł tworzyć, kiedy Kasprowicz był już u zenitu, musiał pozostawać pod urokiem mistrza. Nawet ostatnia książka Staffa tytułem swoim i charakterem utworów zdaje się świadczyć o zapatrzeniu i zasłuchaniu jego w „Księgę ubogich". Jednakowoż nie są do siebie podobni. Różnią się ustrojowo naturą swoich wzruszeń poetyckich. Na czem ta różnica polega, pragnąłbym pouczyć przykładami. Oczywiście dla krótkiego szkicu, który musi być fejletonowy, nie mogę zagłębiać się w studja nad całością dzieł Staffa i Kasprowicza. Przykłady wezmę tylko z „Ucha igielnego" i z „Księgi ubogich".

*

Jakież pierwsze wrażenie? Z tych samych wyżyn sztuki forma wiersza i bogate słowo. Gdy wchodzimy w głąb, ogarnia nas atmosfera smutku i pozornie tej samej refleksyjności, ale po chwili spostrzegamy, że smutek każdego z nich jest odmienny. Inny jest każdego z nich stosunek do życia. Staffowi jest smutno, że mu na świecie niedogodnie, Kasprowiczowi — że światu jest niedogodnie i że on na to pora-

dzić nie może. Staff zdaje sobie z tego sprawę, że żyje sobą, a są ludzie pełni, którzy oddychają całym światem, którym każda rzecz „zwierza Boga tajemnice“. Kasprowicz właśnie był tym, o którym tak pięknie Staff mówi: „samotność siostrą miał swojej zadumy, milczał głusz ciszą, śpiewał drzew szelestem“. Staff wiedząc, że bywa taki człowiek, ma żal do swej natury: „O czemuż ja tym człowiekiem nie jestem!“ (81).

Staff za przedmiot poezji bierze swój smutek, u Kasprowicza zaś smutek jest podmiotem poezji, roztapiającym się w bólu życia powszechnego. Jeżeli smutek jest treścią, płynącą jak światło z istoty życia, to Kasprowicz żył tragicznie, bo bezpośrednio tem światłem i zamienił się w tego smutku organ. Staff nie jest bezpośredni w tym stopniu; zajmuje go refleks literacki tego światła, padający na duszę z intelektualnego poznania. Kasprowicz jest kosmiczny, Staff osobisty. Czary Kasprowicza nie widać prawie, tak przelewa się z niej treść, gdy poezja Staffa tkwi nieraz w samem naczyniu. Intuicja poetycka Kasprowicza dociera nienazwanej prawdy życia; Staff, żyjący z refleksji, zarywa doktryną.

Porównajmy ich stosunek do życia w czasie wielkiej wojny. Staff pisze: „Pomnicie? B y ł a r a d o ś ć, której służą pogoda, cisza, praca. Te rzeczy między nami się nie powtórzą“... Jednem słowem przed wojną był raj. Ale — „nie umiano zrozumieć, ocenić słodkiego słowa: Pokój. Szaleniec krzyknął: W obóz świat przemienić — weź nóż“. Na wojnie „obmierzło życie, hańbione tak nikczemnie“. „Może dopiero wnuki naszych wnuków poczują, co to Miłość“. „Na samą o nas myśl krzykną potomni: o p o d l i, podli, podli“. (66).

Staff, jak widzimy, bierze sprawę tak, jakby to była walka jednostek i wzrusza się refleksją liberalistyczną. Jednostka zapewne jest rada, choćby w niewoli, gdy ma „pogodę, ciszę, pracę“. Ale Kasprowicz obejmuje życia całość. Przez to, że jest „kosmiczny“, jest tem samem w ciaśniejszym zakresie — narodowy. On bada uchem matkę-ziemię, co to za huk go dochodzi. I zrozumiawszy, że to armaty, uczuwa radość. Nie do zaniku podąża tak życie, we krwi nie tonie przyszłość. Poeta w tym huku rozeznaje, że „ktoś twarde rozsada skały“, z których powstanie nowa budowa. W tej wiośnie widzi „nadziei puhar złoty“. Staffowi się wydaje, że zanikła Miłość, a w Kasprowiczu właśnie ona zagrała. „Bo któż ma u k o c h a ć po wieki swe własne, wieczyste dzieło“? „Nad tą dolą-niedolą (wojny) poranna nieci się zorza“. Na pieśń Kasprowicza, „Ojczyzny pełną, spływa p r o m i e n n o ś ć b o ż a“ (Księga ubogich, XXXIX—XLI).

Ten przykład z porównania wzięty rzuca światło na poetycką naturę Staffa i wyjaśnia, dlaczego, przy wielu równych szansach, nie porywa słuchaczy w tym stopniu, jak Kasprowicz. Nie o to przecież chodzi, że miał mylny pogląd na ostatnią wojnę, lecz o to, że intuicja jego artystyczna nie sięga głęboko w istotę życia, zadawalając się pięknem formalnem refleksyj i rozmysłem form.

Zestawiłem obu poetów umyślnie w tej pozycji, kiedy obaj wzbili się w dziedzinę moralnych zagadnień. Bo na tej wyżynie poeta daje się widzieć w szerszem rozpięciu skrzydeł, niż wtedy, gdy mówi wyłącznie o sobie. To, co przywykliśmy nazywać prometeizmem — to są chwile, kiedy poeta staje się organem myśli i uczuć zbiorowych. Przez uczuciowo moralną symbiozę ze środowiskiem bierze na siebie psychę zbiorową, utożsamia się z „miljonem“ i doznaje uczucia, że w nim odbywa się akt samowiedzy zbiorowiska, a nawet czyn jego. Zwłaszcza, gdy poetycki dar współuczuwania ze środowiskiem potęguje się istotną miłością dla niego, wtedy wyobraźnia ma szanse najwyższego wzlotu, jak było w Improwizacji z Mickiewiczem. Na takich faktach oparto prawo poetyckiego „wieszczenia“. Kasprowicz, przykładający ucho do matki ziemi, wstrząsanej hukiem armat, ma w sobie naturę wieszcza.

O publicyście powiedziałoby się, że jest moralnie i rozumowo tak wdrożony w dzieje narodu, że w czasie wojny dobrze się orjentuje, co naród ma myśleć o sobie. Poeta tego typu co Kasprowicz ma widzenie rzeczy niejako fizyczne, stanowi jedność ze środowiskiem, symbolicznie może o sobie powiedzieć, że porozumiewa się z niem przez ziemię; poucza go o kierunku uczuć sam instynkt. Proces ten odbywa się na wysokim poziomie kultury duchowej, wszakże jest tego samego typu, co u człowieka pierwotnego, który się nie myli, gdzie wróg, gdzie droga ratunku. Proces ten wypełnił się i nadbudował uświadomioną miłością, poczuciem odpowiedzialności za środowisko i rozumieniem obowiązku, ale w pierwszem wzruszeniu, puszczony na uczucie, odbywa krótką drogą przeświadczenia intuicyjnego, która w organizacji pełnej jest niezawodna. Poeta nie rozumuje, nie stacza w sobie walki moralnej, ma odrazu pewność.

Takim domniemanym — *in potentia*— poetą jest każdy człowiek normalny, mający w porządku instynkty, dla którego zasadniczo sprawy życia są z góry rozstrzygnięte w głębi serca. Reakcja w takich wypadkach odbywa się w drodze przyrodzonej konieczności, która nie dopuszcza refleksji. Na tem opiera się istota patrjotyzmu, że żadnego uzasadnienia nie potrzebuje.

Kasprowiczowi zjawił się fakt: wojna. Stało się! Reaguje w ten sposób:

> I ja ujrzawszy, że nic już
> Ofiary ocalić nie umie,
> Nad kupą zgorzelisk i gruzów
> W martwej nie stanę z a d u m i e.

Zaduma refleksji nie zdoła zatamować bezpośredniego uczucia:

> O szczęście! O wymarzone
> Spokój budząca radości!

Instynkt powiedział mu, że naród, z którym on jest jednością, tylko przez wojnę może dojść do wolności.

*

Dalekie to jest, nad czem się zastanawiamy, od polityki. Chodzi o sekret poezji narodowej, nawet głębiej — o sekret wogóle poezji. Mojem zdaniem poezja nie miałaby swoich wielkich dziejów, gdyby ludzkość nie ceniła w niej tego najcudowniejszego momentu psychologicznego — przemieniania się jednostki przez instynkt w organ widzenia zbiorowego, przeobrażania psychiki jednostkowej na psychikę społeczną. Dzięki poecie wiemy, jak się dokonywa nad jednostką nadbudowa duchowa, która daje cywilizację. Nie przez rozumowanie wpadamy w owe wielkie obroty ducha, które się poczynają od jego uspołecznienia, lecz przez oddanie się instynktami życiu zbiorowemu. Nie wyłącza ten proces w żadnej fazie świadomości, ale rozumowanie nie jest w nim czynnikiem kierowniczym, nie jest to bowiem proces z wyboru. Odpowiada zresztą ten stan rzeczy faktom w psychice jednostkowej, której dzieje są dziejami wprzód zainteresowań i świadomości dążeniowej na tle uczuć, zanim się wykrystalizuje poznanie.

Poeta typu Kasprowicza antycypuje poznanie, gdy duch jego znajduje się jeszcze w stadjum oddziaływań zmysłowych, — doznaje widzeń w drodze skróconej przez intuicję wyobraźni.

Staff w przeciwieństwie do Kasprowicza jest nawskroś gnostyczny. Sposób jego postępowania psychicznego wydaje się być odwrotny. Poznał pewną prawdę i nią oświetla zjawiska, które go wtedy wzruszają swojem pięknem. Gdy Kasprowicz, napotkawszy drzewo, tem drzewem indywidualnie, bezpośrednio, zmysłowo się wzruszy, to wtedy wytwarza się w nim prąd wzruszeniowy, który kojarzy wszystkie doznane od zmysłów, śpiące w zapomnieniu dawne stany uczuciowe, łączy je z dążeniami i ideami i oto konkretne drzewo staje się postacią poetycką, symbolem jego miłości do stworzenia. Staff postępuje odwrotnie. W sonecie „Miłość“ (str. 85) oświadcza to uczucie Drzewu wogóle (przez duże D):

Kochałem ciebie, D r z e w o, kiedyś stało w lesie —
Dębe, bucze, lipowe, świerczane, jesionne —

Postępuje odwrotnie niż Kasprowicz — od pojęcia ogólnego przechodzi do szczególnego, daleki zawsze od konkretu indywidualnego.

Weźmy dla przykładu pierwszy utwór z „Księgi ubogich“. Zaczyna się on od słów: „Witajcie k o c h a n e góry (nie wogóle góry, tylko te ukochane), o witaj, droga m a rzeko! I oto znów jestem z wami“. Tęsknota go do nich przygnała, że widzi je „oko w oko“. Poeta patrzy, co się zmieniło, wylicza przedmioty indywidualne: w chacie zmarł przyjaciel, uschły „dwie wierzby nad rowem“, „świeżem się liściem pokryły n a s z e jesiony“ i t. d. Kasprowicz miłuje nie wyobrażenie świata, ale jego postać konkretną. Przypomnijmy, że w „Walącym się domu“ żałował akacji przed domem, jak straty człowieka. Był sobą w poezji, tym samym człowiekiem, o którym żona pisze w pamiętniku („Myśl Narodowa“ nr. 35 z r. 1926), jak współczuł z jaworem w podwórzu. Z tego ukochania konkretnego wyrastał przedmiot na postać symboliczną w określonym od pierwszego wzruszenia stosunku uczuciowym i moralnym, którego nie mogło zmienić rozumowanie, rodził się fakt żywy silniejszy od niego.

Gdy za punkt wyjścia bierzemy rozumowanie, to zajmujemy punkt ruchomy, nie tkwiący w przeżyciu. Rozumowanie — to oświetlenie rzeczy przypadkowego natężenia, a nawet z przypadkowej strony. Nie ma w sobie momentu konieczności, ani przewidzieć pozwala, do czego doprowadzi. U Staffa w przytoczonym sonecie stosunek do drzewa określa się zrazu: „Kochałem ciebie Drzewo“, w drugiej strofce: „M y ślałem twoim szumem“, ale dalej poeta zmienia stosunek na pożytkowy: „potrzebne mi jesteś na przyciesie“. I ścina je, a gdy drzewo pada pod toporem, poeta mówi do niego: „Jam z drapieżnej miłości ciebie zamordował... Kocham cię gwałtem ramion i myślę siekierą“.

Oczywiście stosunek i n d y w i d u a l n y, oparty na miłości, w ten sposób realizować się nie da; ale w oderwaniu, jako stosunek do Drzewa wogóle, w sposób filozoficzny może być tak ujęty. To jednak jest już doktryna, nie dająca się pomyśleć u Kasprowicza, zwłaszcza w okresie „Księgi ubogich“, kiedy miłość nie znała dwuznaczności. Przypominam sobie w książce „Mój świat“ historję z Drzewem, która miała taki przebieg.

Pewnego poranku — opisuje tak poeta (s. 190) — usłyszał jakieś hałasy. Przeczuwając coś złego, wybiegł z rewolwerem, ale się zmitygował: „Nic, to tylko drzewa rąbią“... Słyszy jęki i wzdychania, widzi, jak świerk za świerkiem się słania. I filozofuje: „Niech rąbią, niech rąbią — na to nie poradzę. Jestem tylko obywatel — od tego są władze“... Niech rąbią — mędrkuje — „niech się cały las na maszty i domy przemieni“, „niechaj służy na podpałkę przy pieczeniu chleba“. Wszystko rozumie, jest przecież nieodrodnym „synem tych dni, co idą z świeżą nauką w rękawie“. I „już chce powracać do swojego biurka, by napisać, jakie jajka ma dziś znosić kurka“, bo jak rozum, to rozum. Ale nie pomógł wysiłek rozwagi, załamał się poeta, stanęło przed nim widmo drzewa: „Stary wielki jawor staje mu przed oczy“. Darmo gasił w sobie miłość teorją, łamie się z bólu.

— Powracaj do lasu — mówi do starego jawora.
— I ty padniesz za mną.
— Nie szkoda, nie szkoda...

I odszedł jawor do lasu, a mnie — kończy poeta — „trochę żal się zrobiło... Ale świszczę, świszczę“...

I oto widzimy, do czego prowadzi bezpośredni zrost duszy z życiem: prowadzi do tragizmu. Prawda, z poznania w tej drodze wynikająca, jest jednoznaczna, bezwzględna, kosztuje życie. Poezja tej drogi pisana jest krwią; podczas gdy prawda z założeń ogólnych stosowanie w życiu ma względne, a poezja stąd b y w a tylko piękna, dzięki takim talentom, jak Staff.

*

Powróćmy teraz do pierwszego z przytoczonych utworów Staffa. Sprawa tyczy tam stosunku nie do drzewa, lecz do ludzi. Ta sama sprawa miłości. Staff traktuje ją formalnie, racjonalistycznie ze stanowiska jednostki, jakby ona żyła w pustce. Było dobrze: „pogoda, cisza, praca“. Zachciało się „rządzącym“ wojny i „rządzeni“ mordowali się, zapominając, co to jest „Miłość“. W poemacie tym brak domyślać się dającej strofy pierwszej, która brzmiałaby: „Kochałem ciebie, Ludzkości... (polska, niemiecka, rosyjska, francuska i t. d.)“. Oczywiście, wspominając tu o miłości, Staff ma na myśli przepisową miłość bliźniego: nie zabijaj. Dla Kasprowicza bliższa jest w tej chwili jednostka wyższego typu: naród. On ją, gdy narody się ruszyły, ma w oczach, on z nią tworzy jedną całość, z owym „miljonem“ sobie bliskich, którzy od wojny oczekują zbawienia. Miłość dla niego musi się postaciować. Dla niego „wszelka inna miłość bez wcielenia jest upiorowem myśleniem myślenia“ — jak określił Norwid w „Promethidionie“. Pojęcie Ludzkości, czy Drzewa jest wytworem abstrakcji. Boleść prawdziwa jako pogwałcenie f a k t y c z n e g o życia uczuciowego w miłości rodzi się wtedy, gdy z obrazu ogólnego wyłoniony jawi się sercu konkret: stary jawor, czy Naród, których postać poruszy przez zmysły system uczuciowy. Gdy mowa o walce n a r o d ó w refleksja wywołuje obraz uczuciowy tego narodu, który jest stale w duszy obecny i konkretnie dopomina się serca, i to nie na prawach tylko objektu jak jawór, w który poeta się wczuwa, ale przedewszystkiem na prawach podmiotu, jako elementu jego własnej jaźni.

Księga prawd żywych, z których składa się życie i jego odbicie w poezji, nie domyka się szczelnie, gdy je zbytnio racjonalizować. „Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu“. Poezja pokazuje w kształtach, postaciowo ten cud, który się odbywa w psychice przed progiem poznania syllogistycznego. W czasach romantyzmu rozróżniano „duch“ od intellektu, mając na myśli procesy doznawań i widzeń poetyckich. Mickiewicz rozróżniał prawdy z doświadczenia psychicznego, z przeżyć — od prawd dedukowanych z założeń. Sprzeczność między temi dwiema metodami dochodzenia prawdy w poezji była bodaj najważniejszą przyczyną konfliktu między romantykami i klasykami, którzy reprezentowali zasadę rozumu, jako czynnika twórczego w poezji. Ale Mickiewicz szedł tędy dalej po za poezję. Uważał, że w naturze polskiej leży postępowanie umysłowe indukcyjne, od postaci do uogólnień i że wpływy obce, zwłaszcza myślenia niemieckiego, psują umysł. Wychodzenie z definicji ogólnej, jak się wyraził w wy-

kładach paryskich, „działa sztucznie na intelekt, wpędza w niego wszystkie siły, rozwija go kosztem ducha“. Widział w tem jedną z przyczyn, że zcudzoziemczałe sfery oświecone nie mogą się porozumieć z ludem. Na tym samym gruncie stanął Norwid, gdy pisał w „Promethidionie“: „Różnica pomiędzy słowem ludu a słowem pisanem i uczonem jest ta, że lud myśli postaciami, a umiejętnik postacie do myśli swoich dorabia“ (Warsz. 1922, str. 63).

Można się spierać o zakres, w jakim godziłoby się wnioski powyższe do życia umysłowego stosować, niewątpliwie jednak w poezji system przeżyć, doświadczeń postaciowanych, miłości wcielanej, postępowania „indukcyjnego“ od konkretu do symbolu — będzie — po wszystkie czasy bardziej twórczy artystycznie i bardziej dla rzesz, żądnych sztuki, odżywczy.

*

Po napisaniu tych uwag pod bezpośredniem wrażeniem „Ucha igielnego“, zajrzałem dla upewnienia się do rozprawy Zygmunta L. Zaleskiego „Postawa twórcza Leopolda Staffa“ („Dzieło i twórca“. Warsz. 1914). Znakomity krytyk po przestudjowaniu wszystkich dzieł Staffa w celu określenia linji rozwojowej jego twórczości, formułuje swój sąd w zdaniach, które zupełnie odpowiadają mojemu kątowi widzenia: Glebą twórczości Staffa według Zaleskiego „jest splot zagadnień poznawczych i moralnych — płodne iześrodkowane życie wewnętrzne poety, u którego świat myśli i refleksyj panuje zwykle nad światem zmysłów i odczuwań bezpośrednich“. Oczywiście świat refleksyj jest też terenem przeżyć, ale nie bezpośrednich, a z zestawienia Zaleskiego wynika, że ewolucja Staffa polega na kolejności przeżyć książkowych. Ponad poetą góruje w Staffie artysta. „Staff — utrzymuje Zaleski — to król gościńców poetyckich, król zawrotnych ścieżek, wiodących w nieodkryte polany zagadnień artystycznych. To ciekawość poetycka, umysłowa raczej niż uczuciowa“. W sferze moralnej Zaleski zauważył dominujący u Staffa „kult duszy własnej“. Nawet jako piewca „snów o potędze“, jest tylko rycerzem piękna. Poezja jego „daje wciąż jeno równoważniki wielkich przygotowań do czynu“. „Wszystkie nadludzkie wysiłki jego woli poetyckiej mogą stać się pracą Syzyfa, wznoszeniem złotobramnej świątyni dla rzerzy, która nigdy ma się stać, nigdy być, nigdy się urzeczywistnić“.

Najlepszy dowód trafności uwag Zaleskiego mamy w postawie Staffa wobec tak wybitnych zdarzeń życia psychicznego jak wojna.

Wojna, powodująca wysiłek wysokiego napięcia psychicznego, jest sprawdzianem rzeczywistości duchowej narodu i w jego całości i w poszczególnych jednostkach. Prawidłowe przeżycie tego wysiłku przez poetę jest poetyckim równoważnikiem czynu, realizującym sny jego o potędze. Przez sen o pokoju za wszelką cenę trudniej przejść do królestwa poezji, niż przez ucho igielne. Staff doszedł jednak w poezji do niepospolitych rezultatów. Sprawiła to jego „wola poetycka“ w zakresie artyzmu. Podziwiać należy, ile siły poetyckiej intelektem swoim z wyobrażeń o rzeczach wywołał, ile piękna artystycznego widzeniom swoim nadał

*

Pokaz mój na powyższych przykładach zmierza do tego, że Kasprowicz i Staff są reprezentantami dwu przeciwnych sobie typów poetyckich. Łączy ich artyzm. Ale dochodzą do niego z dwu różnych stron: pierwszy przez doświadczenie, przez fakty psychiczne, rzec można — indukcyjnie, drogi — biorąc wyjście z założeń pojęciowych, „gościńcami poetyckiemi“ znanemi z literatury, niejako dedukcyjnie. Pierwsze postępowanie (Kasprowicza) można nazwać poetyckiem z istoty psychologicznej, drugie — artystycznem, usiłującem trafić, przez wywoływanie nastrojów i uczuć, na właściwy ton poetycki. W pierwszem jest bezpośredniość, przyroda zmysłów i instynktów z nieograniczonemi możliwościami wylotu ideowego i tworzenia nowych form; w drugim — wtórne odbicie żywej prawdy psychicznej, odblask jej rzucany ze świata sztuki i myśli już gotowej.

Pierwszy typ kroczy od przyrody swojej ku sztuce, drugi drogą odwrotną. Spotykają się bliżej lub dalej od tego punktu, na którym w dobie pisania książki zatrzymała się norma wymagań, według ostatniego rekordu. Ale ten, co idzie ku sztuce i szuka dla siebie nowych form, rozsadzając treścią nowego ducha stare, robi niespodzianki. I zanim ci drudzy zorjentują się w „gościńcu“ już wytkniętym, tamci stworzyli rzeczy nowe, mające moc prawodawczą.

Fakty z historji literatury, zresztą obserwacja ludzi w środowisku, pouczają, że żywy stosunek z przyrodą jest naturalną wylęgarnią poetów. Miasta, ogniska cywilizacyjne rywalizują ze wsią jako sztuczne inkubatory. Na mapie społecznej taki jest mniej więcej rozkład topograficzny owych potencyj poetyckich.

A więc wieś i miasto?*) Rustykalizm i urbanizm? Można i tak orjentować się z grubsza. Ale zasada podziału jest psychologiczna, daleko głębsza. O tem zapomina nieraz krytyka, zajmująca się rozróżnianiem, dajmy na to, Czartaka od obozu Urbanistów. Można dzielić na obozy nietylko gieograficznie, można i astrologicznie: istnieje obóz poetów słonecznych i księżycowych. Ale w twórczości jedyną rzeczą realną i istotną jest dusza. Jest dusza, szukająca prawdy swojemi siłami przyrodzonemi, dusza tworząca się ciągle — i ten proces jej pracy jest poezją istotną. I dusza, która te prawdy znalazła gotowe jako owoc cywilizacji i od nich zaczyna wędrówkę, sycąc się ich pięknem i sprawdzając je w poezji, ale osobiście niedoświadczona, robiąca błędy i z życiem nie umiejąca sobie poradzić. Pierwsza dochodzi do mety, stworzywszy sobie swój świat całkowity, gdzie jest i Bóg cały i człowiek („Mój Świat“ Kasprowicza), a drugi typ uniwersalny, niesyty życia, błądzi po rozdrożu, jak Syzyf, wznoszący gmach rzeczywistości w Sztuce.

Dzieła twórców są jak rzucane w przestrzeń bumerangi: wracają na miejsce. Jedna książka wróci do życia, druga — do bibljotek. I z naszych twórców, których porównywaliśmy, więc i z wielkiego artysty Staffa — to, co było prawdą żywą, wróci do życia, reszta pozostanie ciekawością literacką.

ZYGMUNT WASILEWSKI

*) Psychologowie piękna i sztuki, zastanawiający się nad stosunkiem artysty do przyrody, powinni pogłębić kwestję granicy, gd ie się kończy człowiek, a gdzie się zaczyna przyroda. Popularnie bowiem stosunek do przyrody traktowany jest jako stosunek na odległość do czegoś zewnętrznego. Granicę tę trzeba przesunać na wnętrze człowieka, on bowiem sam jest także przyrodą. Granica ta przechodzi jaknajbliżej progu samowiedzy, dla której wszystkie inne stany wewnętrzne są objektami. Przyroda worganizowana jest w duchowość jednostki. Poeta w sobie ją odnajduje, do czego zewnętrzne doznania dają tylko asumpt. Zła jest kultura miast, która zubożając duszę, przenosi te granicę nazewnątrz, czyniąc przyrodę niedostępną dla ducha i która nadto chełpi się wyższością tak okaleczonego „urbanizmu“. Zagadnienie kulturalne z tej dziedziny jest bardzo poważne. Dlatego zasługują na baczną uwagę naukowe artykuły K. L. Konińskiego, w ostatnich zeszytach „Myśli Narodowej“, stanowiące jeden cykl: Przewietrzenie kultury, Zubożenie duszy, Zgaszenie krajobrazu.

Z CYKLU

SONETY MORSKIE

KRES

Oto już na ostatnie moje wchodzę wzgórze.
Przedemną morze. Przebóg! Wszystkie rzeki ziemi
Do tego kresu dążą. I ja snać tu z niemi
Nieświadom celu kończę zawiłe podróże.

Jeszcze mi gromem w uszach grzmią gór wodospady,
Jeszcze strumienie rącze z ciszy wierzbnych dolin
Dźwięczą muzyką słodką, niby rój mandolin,
A już morze finałem tragicznej ballady

Zwie na wieczność... O, jakże ogromna i górna
Echem w falach gra życia opowieść powtórna!
Wszystko, co-m tworzył, kochał, niszczył, nienawidził,

Co-m zbudował i zburzył, uwielbił, wyszydził,
Czego-m posiać nie zdążył, nie zżął, nie zaorał, —
W jedną symfonję łączy święty morza chorał.

ALLEGRO I ANDANTE

Jest każdej wiosny jeden w rok na oceanie
Przypływ — Olbrzym, potężny, jak *forte con brio*,
Gdy wód garbate wały z rykiem w skały biją
I chmurą grzyw ku niebu skaczą w gniewu pianie,

A górą z gwizdem ostrym stada mew się wiją.
Takim Atlantyk niegdyś grzmotem w Doelanie
Grał mi i straszył obie moje piękne panie —
Boskoudą Marylę i Nellę z koliją

Rozpuszczonych warkoczy. Jest (także na wiośnę)
Jeden tylko wsi polskiej taki zmierzch najcichszy,
Gdy w żab chórze ostatnia *solo* z błotnych spichrzy

Śpiewny tryl swój wywodzi, jak skrzypiec żałosne
I w nieskończoność niebios świdrujące łkanie.
Tam mi jedyne moje umarło kochanie.

HURAGAN

Rozpętały się piekieł potęgi w przestworzu,
Huraganem chłostane świszczą deszczu struny,
Noc rozpaczliwa, biją salwami pioruny,
O, Boże, bądź miłościw tym, co są na morzu!

W rybackiej izbie dzieci gromadka na łożu.
Strach niemi trzęsie. Matka przed obrazem klęczy.
Za czarną szybą okna blady upiór jęczy —
Groza bezdomnych śmierci na morskiem bezdrożu.

Zadrżała chata. Skrzypią pułapu sosręby,
Grom i trzask, w boru djabeł drze stuletnie dęby,
Huk pod ziemią i łoskot przeraźliwy górą,

Okienna szyba krwawą splamiona purpurą,
A w izbie chór organny, chór dzieci na łożu:
O, Boże, bądź miłościw tym, co są na morzu!

CISZA

Niema ciszy tak cichej, jak cisza pogodnej
Nocy letniej na morzu. Milczenie bezmiarów,
Powolny tam — na niebie ruch gwiezdnych zegarów
I miękkość rozbujanej niemej głębi wodnej

W takiej żywej łódź naszą pogrążyły ciszy,
Że, zda się, ucho gwiazdę spadającą słyszy,
Jak syk ognistej racy, (którą w przestrzeń ciemną
Z ginących światów ongi wysłano — daremno...)

O, tułaczy kosmicznej katastrofy gończe!
Może kiedy, po wiekach, znowu gdzie przelotem
Ujrzysz dwoje pod żagla wtulonych opończę,

Którzy cię nagłym ramion powitają splotem,
Jak my tu, i płomiennym warg aerolitem...
Bądź-że im od nas gońcem i radości świtem!

ŁOWY

Gdzie na plaży piach mokry pochyło się ścieli,
Ślad twej stopy odkryłem, jak lew trop gazeli.

Wieczór parny, grzmi morze tępym fali hukiem,
Węszą nozdrza, zdławionym krtań dyszy pomrukiem.

Czy to gwiazdy, czy w oczach skry pod tętnic młotem?
Cień pomyka, za skalnym się kryje wykrotem.

Wdali księżyc miedziany wstał łuną pożarną,
Ciepły podmuch westchnieniem do warg się pogarnął.

Syknął zdradnie żwir sypki pod ciemnym wiszarem,
Zaszumiało, zawrzało krwawym serca warem.

Otuliła noc brzegi we mgieł gronostaje,
Nie ujdzie łowcy zdobycz, którą morze daje.

W szepcie strachu i w piachu nagrzanej pościeli
Legnę, miła, na tobie, jak lew na gazeli.

POCHWAŁA MORZA

Nie w chlebie dnia powszednim, nie w modłów pokorze
Duchem hojność poznałem Twoją, wielki Boże!

Ale w morzu, gdy legło pod słońcem, jak strojna
Cudem własnej nagości, odaliska hojna.

Nie pod świątyń kopułą, nie w cieśli toporze
Duchem twórczość poznałem Twoją, wielki Boże!

Ale w hucznym, zaborczym, zuchwałym porywie,
Którym morze ląd rzeźbi w wiosennym przypływie.

Nie na śnieżnym gór szczycie i nie w mrocznym borze
Duchem siłę poznałem Twoją, wielki Boże!

Lecz na dziobie okrętu biczem fal smagany,
Gdy oddech burzy w wichrze szedł przez oceany.

Takim Ciebie w słońc wirze i w serca komorze
Duchem z morza poznałem — Twórco! Wielki Boże!

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

№ 3 *„Myśli Narodowej“* z zarządzenia Komisarjatu Rządu m. Warszawy został skonfiskowany za feljeton Al. Świętochowskiego „Liberum veto“. W nr. 4 powtarzamy zawartość nru trzeciego z pominięciem Liberum veto, dodając zamiast niego streszczenie artykułów R. Dmowskiego.

GŁOSY

POGLĄD R. DMOWSKIEGO NA CHWILĘ OBECNĄ

ROMAN DMOWSKI ogłosił w „Gazecie Warszawskiej“ (i w szeregu innych dzienników) cykl artykułów pt. „Obóz narodowy w chwili obecnej“. Opinja publiczna z upragnieniem oczekuje jego słowa w chwilach rozterki, uznając w niem głos sumienia narodowego, który nigdy nie zawiódł. Dmowski przemawia do sumienia człowieka historycznego i jemu udziela — jak się mówi po dziennikarsku — wywiadu o tem, co myśli o chwili obecnej, którą przeżywamy.

Ogół społeczeństwa w bezładnych ruchach międzypartyjnych, przynaglonych akcją wyborczą, nie bardzo sie orjentuje. Pyta o linję wytyczną, którą wskazać może tylko umysł z góry na rzeczy patrzący, zdolny się wznieść ponad partyjne zabiegi dnia bieżącego.

—Z wyjątkiem może niektórych krajów bałkańskich—powiada Dmowski — w żadnym nie zobaczy się tego widowiska. W żadnym kraju nie było takiej wędrówki ludzi od stronnictwa do stronnictwa. Ma to i swoją dobrą stronę. Odbywa się selekcja ludzi, próba charakterów, próba wartości ludzi i stronnictw. Przyszła chwila, kiedy niedość mieć mocne apetyty i dobre gardła, w której trzeba pokazać trochę charakteru, znaleźć w sobie jakiś grunt moralny (art. I). Największem bodaj nieszczęściem naszem w obecnej chwili jest ciemnota polityczna. Ten to światek ruchomy, bo ciągle za żerem wędrujący i demoralizowany, postanowiono zorganizować hasłem zniszczenia „endeków“. Endecy to obóz narodowy.

— Obóz narodowy to nie jest tylko Związek Ludowo-Narodowy, czy Demokracja narodowa. Ale nie są to też wszyscy Polacy. Obozem narodowym są ci wszyscy, którzy w działaniu politycznem dobro narodu stawiają przed interesy grup i jednostek.

Czem jest w życiu Polski obóz narodowy?

— Myśl polityczna tego obozu odpowiada dwom zasadniczym wymaganiom: 1) myśleć nietylko o dniu dzisiejszym, o jego brakach i niedomaganiach, o jego potrzebach i pragnieniach, ale i o jutrze: walczyć o bliższe i dalsze jutro, pracować nietylko dla siebie, ale i dla tych, co po nas przyjdą. 2) samodzielnie myśleć po polsku i niezależnie po polsku działać.

Z oportunizmem życia i działania, w myśl przykazania troski o jutro, obóz narodowy walczy przez cały czas swego istnienia. Jego troska o jutro w latach przedwojennych przygotowała myśl polską i czyn polski na dobę ważenia się losów narodu w wielkiej wojnie. Po odbudowaniu państwa i uzyskaniu możliwych jego granic broniła polityki polskiej przed wykolejeniem, przed pójściem na najniedorzeczniejsze, najszkodliwsze kombinacje, a jednocześnie z chaosu walk wewnętrznych usiłowała wydobyć siłę, na którejby rząd prawdziwie polski i rozumiejący potrzeby Polski mógł się oprzeć. Dziś usiłuje zorganizować naród moralnie i politycznie tak, żeby losy jego nie zależały od przypadku, od sił nieznanych i niepewnych, od czynników obcych, uczynić go zdolnym do budowania własnej przyszłości, do ponoszenia odpowiedzialności za własne państwo. (III).

Jeżeli dziś istnieje państwo polskie, państwo w granicach, które mu dają widoki na rozwój mocarstwowy (o ile Polacy nie będą niedołęgami i o ile im Pan Bóg rozumu nie odejmie) to dla tego, że przed laty czterdziestu zaczął się nareszcie organizować w Polsce obóz naprawdę narodowy, polską myślą żyjący, nie otrzymujący od obcych wskazówek, co ma dla Polski zrobić.

Ale nie wszyscy Polacy do tego obozu należą. Znaczna część ich, niedociągnięta psychicznie do poziomu odpowiedzialności za losy narodu staje się łapem pośrednim obcej myśli politycznej, wykonywanej w kraju przez półcywilizowanych działaczy, wyznających zasady uniwersalne.

— Ten typ—mówi Dmowski—to niedawno nawrócony na kulturę polityczną barbarzyńca, powierzchownie ogładzony, obeznany nieco z konwenansami politycznemi, nauczony w loży wolnomularskiej pewnych zasad „ogólnoludzkich“, które recytuje przy każdej sposobności jak papuga (III). Polityk taki usiłuje te uniwersalne pomysły stosować w kraju wbrew interesom narodu. W starych organizacjach państwowych życie z takimi działaczami sobie radzi, ale w krajach ze słabszą organizacją polityczną i moralną typ ten służy przeważnie interesom obcym bądź nieświadomie pod wpływem sugestji, bądź nawet świadomie za daną cenę, za poparcie z zewnątrz, za reklamę, a czasem wprost za gotówkę.

W Polsce, która ciągle jeszcze leży na granicy między barbarzyństwem a cywilizacją, tylko część ludności bardziej cywilizowana rozumie, że przyszłość kraju zależna jest od tego, co dla niej zrobi sam naród. Ciągle jeszcze oczekują nasi polityczni barbarzyńcy, że ktoś poza nimi zajmuje się Polską i urządzi ją tak, żeby im w niej było dobrze. Ciągle operują oni pojęciami „rząd“ i „społeczeństwo“ w takim sensie, jakby ten rząd był czemś z poza społeczeństwa od społeczeństwa niezależnem.

Lekceważąc opinję narodową, politycy uniwersalni dumni są z każdego słówka aprobaty zagranicy. Zazdrość w niektórych naszych działaczach musi budzić wiadomość o wysokiem odznaczeniu masońskiem, które meksykański prezydent Calles miał świeżo otrzymać, i o wyrazach uznania, jakie go dochodzą z różnych krajów! Ba, ale żeby na to zasłużyć, trzeba naród polski przygotowywać na pognój dla Niemców tak szybko i tak radykalnemi środkami, jak on przygotowuje Meksyk dla Stanów Zjednoczonych.

Mówiąc o prowadzonej teraz — zwłaszcza wobec wyborów wielkiej akcji w celu „zdemoralizowania burżuazji“ za pomocą haseł „interesów gospodarczych“, Dmowski wykazuje krótkowzroczność sfer posiadających, które nie widzą, ze myśl o jutrze nie jest jednoznaczna z zyskiem doraźnym. Co będzie?

— Jest niemało takich, którzy się liczą z niebezpieczeństwem prób przewrotowych, ale sa pewni, że rząd ich przed niem zawsze ochroni. Przedewszystkiem są rządy i rządy. Jedne są więcej, inne mniej pewne, jako obrońcy prawa, porządku i ładu społecznego.

Ci, dla których idea narodowa, religja katolicka nie stanowi wartości sama w sobie, którzyby gotowi byli w nich widzieć tylko środek przeciwrewolucyjny nieraz powiadają: możemy sobie pozwolić na walkę z obozem narodowym, możemy uprawiać lub tolerować walkę z Kościołem, możemy nie troszczyć się o stan moralny naszej „burżuazji“—nam niebezpieczeństwo rządów sowieckich nie grozi, rewolucja u nas się nie uda. W razie najgorszym pomogliby nam z ze-

wnątrz ją stłumić. Może być, nie wiem. To tylko wiem, że my nie możemy sobie nawet na nieudałą rewolucję pozwolić, o ileby miała ona państwo choć na krótki okres w anarchję pogrążyć. Pomocy z zewnątrz udzielonoby nam rychlej, niżbyśmy sami chcieli. Ale z tej próby wyszlibyśmy jako inna Polska, mniejsza znacznie, niż ta, którąśmy z takim trudem zdobyli Traktatem Wersalskim i następnemi.

Polityka narodowa myśli o jutrze i jest samodzielna. Tu przytoczymy na zamknięcie jeszcze kilka słów:

My, ludzie obozu narodowego, nie jesteśmy wcale obojętni na to, jak nas za granicą traktują. My wszakże wolimy, żeby nas mniej lubiono, a zato więcej szanowano. To dogadza naszej polskiej miłości własnej, naszemu poczuciu godności narodowej, i na tem praktycznie lepiej się wychodzi. Można mieć więcej trudności, więcej przeszkód do zwalczenia, ale przy wytrwałości w końcu zawsze się wygrywa. Myśmy się od początku dużo uczyli od obcych, aleśmy ich nigdy nie pytali, jaką Polska ma prowadzić polityką wewnętrzną i zewnętrzną. Jeżeli ta polityka ma być prowadzona dla aszego polskiego dobra, musi ją rodzić nasz polski rozum. Cudzy rozum będzie ją dyktował dla cudzego dobra.

O MYDLENIE OCZU

KTOBY chciał poznać sytuację w Polsce przedwyborczą w karykaturze, niech czyta „Czas", który zestarzałym głosem wyśpiewuje wiedeńską piosnkę „Przy Tobie, Panie, stoimy". Ciągle stoi na baczność, tylko panowie się zmieniają. Z powodu uchwały prezydjum stronnictwa Chrześcijańsko-Narodowego, które się opowiedziało za komitetem Katolicko-Narodowym, „Czas" maluje, dla postraszenia Polski, taki schemat sytuacji: „Uchwała ta w pierwszym rzędzie (*im erste Range*) rzuca ich (ziemian) beznadziejnie w objęcia Endecji i stawia w położeniu jawnej walki z marszałkiem Piłsudskim".

> „Antyteza Piłsudski—Endecja jest tego rodzaju, że rozwiązać się ani uzgodnić nigdy nie da. Jest to bowiem walka dwóch światopoglądów (?), walka między tym, który budować chce nową Polskę, a tymi, którzy tej nowej Polski nie chcą".

Ziemianie więc zastanowić się powinni, z kim iść: „z Endecją przeciw Piłsudskiemu, czy z Piłsudskim przeciw Endecji. Bo do tego sprowadza się wybór".

„Czas" padł ofiarą mistyfikacji, stosowanej dziś w polityce na wielką skalę. Wykorzystano słabość starego służbisty na punkcie personalnych kultów, aby go użyć do bałamucenia opinji symplicystycznemi formułami. Podział Polski politycznej na dwa obozy: Piłsudski—Endecja, aczkolwiek nader dla Endecji pochlebny, nie odpowiada rzeczywistości i niepotrzebnie obarcza jednostkę odpowiedzialnością za tak pojętą walkę. Jest to grube nadużycie autorytetu. Darmobyśmy w motywach tego podziału szukali wyjaśnienia, jaka treść kryje się pod nazwami tych frontów. Bo to, że to jest „walka dwóch światopoglądów" bez wymienienia jakich, — niczego nie wyjaśnia, nawet gdy się w to miejsce wstawi frazes o tem, że jedna strona „budować chce nową Polskę", a druga — „tej nowej Polski nie chce". To — powiadamy — także niczego nie tłumaczy, bo nie wiadomo znowu, jakiej Polski ta druga strona „nie chce".

Endecja ma za sobą kilkadziesiąt lat dziejów, które są w historji krok za krokiem wylegitymowane programami i czynami. Niechaj „Czas" wskaże historyka, któryby zakwestjonował fakty, podane w dziełach Dmowskiego „Polityka polska i odbudowa państwa" i Seydy „Polska na przełomie dziejów". Fakty te ustaliły zasługę Endecji w odbudowie państwa. Nie doszłoby do tego, gdyby Endecja pracą swoją choć zgrubsza nie była wpierw odbudowała duchowo Polski, jako narodu. Nie zmieni tego faktu (i świadomości co do niego powszechnej) przedwyborcza charakterystyka Endecji, dawana teraz w „Czasie", jako zbioru „awanturników i płatnych agentów tej lub innej mafji... niewiadomo nawet na kogo pracujących i na czyją właściwie korzyść, bo nie państwa i nie Kościoła".

Jakiż zastaw dostaje historyk w czci osobistej pp. Beauprégo czy Estreichera na pokrycie wiarą tego przekazu? Gotowości służalstwa wobec jednostek odpowiada w „Czasie" zuchwalstwo wobec wartości życia zbiorowego, które nie dzierży w ręku pałki ani bata. Najgorzej wychodzą na tej moralności lokajów— interesy narodu, o którym dzisiaj nawet wspominać im się nie chce, tak „naród" jest niemodny (znajdźcie ten czcigodny rzeczownik na szpaltach „Czasu"!)

Historyk dzisiejszy wie dobrze, że skoro Endecja jest ruchem narodowym o takiej a takiej linji i borykać się musi z przeciwdziałaniem i to konsekwentnem od samego zarania swoich dziejów i borykać się będzie pokoleniami, to nie w jednostce leży źródło tego oporu. Zwłaszcza że nie brak historykowi metody porównawczej. Ten sam ruch narodowy w innych krajach napotyka te same siły przeciwne, dążące do paraliżowania konsolidacji narodowej.

Narody europejskie są w ciągłej walce wskutek degeneracji psychicznej ludności po miastach, a głównie wskutek poplątania się jej z koczownictwem, zbrojnem w potęgę pieniądza, w walce o prawo tworzenia swoistej cywilizacji. Najzawziętsza walka toczy się o władanie aparatem państwowym; stąd wstrząsy polityczne. Publicyści, nawet gdy ich uczciwość nie może nadążyć rozumowi, powinni znać granice oszustwa dokonywanego, bo inaczej stają się „stańczykami" zbyt płaskimi nawet na śmiech, nie tylko na gniew. Nie mogą zaś liczyć na to, że wszystkich publicystów z przeciwnego obozu, historyków i ludzi uczciwych wogóle uda się wymordować i spławić w stawie, czy w rzece.

Co do istoty tej walki dziejowej, „Czas" traktuje *per non sunt* względy cywilizacyjne. Argumenty ziemian, że obowiązkiem ich jest utrzymać linję cywilizacyjną swojego narodu, wskazaną przez Kościół, „Czas" uważa za zbyt błahe, aby się nad niemi zastanawiać. Tak już stoimy w organach zachowawczych! Jego zdaniem są to tylko pozory, a takie pozorowanie „choćby najbardziej wzniosłemi argumentami religijnemi nikomu oczu nie zamydli"...

Ponieważ t. zw. Endecja jest jedynem stronnictwem zorganizowanem na podstawie idei, że naród polski jest gospodarzem w swojem państwie i jest odpowiedzialnym twórcą cywilizacji polskiej, nic dziwnego, że cały impet sił, tej idei przeciwnych, kieruje się na Endecję, będącą kręgosłupem społeczeństwa, chcącego i umiejącego myśleć po polsku. „Endecja", jeśli tak nazwać obrońców idei narodowej w każdym kraju, dźwiga na sobie ciężar tej walki, mając przeciwko sobie siłę organizowaną, bynajmniej nie jednostkę, jak „Czas" usiłuje wmówić.

Nad koczownikami w „Czasie", niech się obejrzą, wznosi się katedra Wawelska. Łatwo według tego drogowskazu dziejów zorjentować się, dokąd kto chce prowadzić.

DYSKRECJA A TAJEMNICA

CIEKAWYCH widowisk bywamy obserwatorami. Przed rokiem „Głos Prawdy“, nie zacierając jeszcze śladów swego rewolucyjnego pochodzenia, wszczął akcję za wypuszczaniem z więzień przestępców politycznych, a niebawem drugą przeciwko policji. Robił to systematycznie, gromadząc fakty do wielkiego oskarżenia i biorąc za cel właśnie tych, którzy tropią, i aresztują—policję śledczą. Opinja publiczna, która w rozumieniu dobroczynej roli służby bezpieczeństwa publicznego bardzo szybko postąpiła naprzód i szczęśliwa była, że może być dumna ze swojej policji, istotnie bowiem cieszyła się ona poważaniem, opinja, powiadamy, mocno się zaniepokoiła tą akcją. Przytaczane fakty wydawały się wiarogodne, wszystkie miały świadków, operowano nazwiskami. A oskarżenie było ciężkie: o spólnictwo policji z przestępcami, oparte na stałej kooperatywie, podziale łupu i przekupstwie. Oskarżenie to namiętnie prowadzone, robiło przygnębiające wrażenie. Wydawało się tylko dziwnem, że wytoczono cały ten aparat na ulicę, zamiast oddać materjał władzom wyższym i sądowi. Na co był potrzebny ten hałas, kompromitujący Polskę zagranicą i mobilizujący nienawiść ku policji, w sferach przestępców kryminalnych i politycznych.

Społeczeństwo polskie domaga się surowości prawa i jawnego wymiaru sprawiedliwości, ale nie zależy mu bynajmniej na tem, aby samemu brać gremjalnie udział w śledztwie. Zwłaszcza gdy chodzi o powagę obrony państwa, chce mieć zaufanie do władz, że czystości stosunków w tych dziedzinach organizacji państwa przestrzegają i rozpalonem żelazem każdy wrzód tam wypalą. Społeczeństwo chce mieć tą pewność, dla tego dopomina się o kategoryczne wyjaśnienia w razie złych pogłosek, czy i co władze w danej sprawie zrobiły. Wojsko i policja są źrenicą w oku dla narodu. Na to, żeby społeczeństwo dobrze się czuło, potrzebna mu jest pewność, że nie możliwa jest w tych organach gangrena.

Doświadczenie poucza, że gdy wróg podkopuje się pod państwo, to zdolny jest przybrać postać zdradziecką, aby zniewolić funkcjonarjuszy państwa do czynów, które, wyszedłszy na jaw, skompromitują całą organizację i uczynią państwo podatniejszem na rozkład. Tak przecież odbywała się robota bolszewicka w Rosji. Trudno nieraz przewidzieć, jaki użytek zrobiony będzie zczasem z epizodów, które wydają się być wieczną tajemnicą.

Społeczeństwo jest bezwzględnie za jawnością wymiaru sprawiedliwości, wiedząc, że gorsze są skutki dla państwa z zatajenia, niż z przyznania się nawet do dramatu. Bo wtedy państwo zyskuje na opinji, jako siła, jako organizacja moralna. Dla tego prasa narodowa dopomina się tak często czynów w tym kierunku. Ale powtarzamy — dziwnem się jej wydawało, że gdy zarzuty te padają ze strony, cieszącej się zaufaniem władz, potrzeba było aż tak długiej i krzykliwej akcji publicznej przygotowawczej.

I oto, gdy przyszło wreszcie do procesu przeciwko funkcjonarjuszom policji (Kurnatowskiemu i Dobieckiemu), okazało się, że wszystkie przytaczane i w prasie i przez świadków fakty były nieprawdziwe i sąd obu oskarżonych uniewinnił.

Akcja „Głosu Prawdy“, najefektowniejsza z „sanacyjnych“, w dziwnem stanęła świetle. Aż strach zbiera pomyśleć, czy żywioły, które może w błąd ten dziennik wprowadziły, nie wymyśliły już innego sposobu skompromitowania, nienawistnych sobie organów bezpieczeństwa i obrony przez wciągnięcie jednostek w złe czyny i pokrycie ich czasową tajemnicą. Bo gdzie można tak łatwo zdobyć możność jawnego, efektownego i tak dowolnego oskarżania, tam można też gwarantować tajemnicę. Silny rząd, nie przestając być dyskretnym, gdzie chodzi o powagę państwa, z tem większą stanowczością, właśnie w interesie tej powagi, przerywać powinien taką ciszę tajemnicy.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Rozproszkowanie społeczeństwa—Listy „mieszane“—Lista № 24—Sprawa napadu na red. Mostowicza — Odpowiedź p. Waldemarasa.

LIST państwowych kandydatów do Sejmu i Senatu zgłoszono trzydzieści cztery. Przy wyborach w r. 1922 współzawodniczyło dziewiętnaście list państwowych, dziś więc lista ugrupowań i stronnictw, samodzielnie przystępujących do walki wyborczej, powiększyła się więcej, niż o połowę. Rozbijanie społeczeństwa na maleńkie, coraz drobniejsze grupki, wiązane już tylko doraźnym interesem materjalnym albo małostkowemi ambicjami przywódców, postępuje naprzód z szybkością zastraszającą.

Przy wyborach w roku 1922 trzynaście list państwowych zgłosiły grupy i stronnictwa polskie, sześć—„mniejszości“ narodowe, jedną — komuniści. Obecnie „mniejszości“ narodowe wystawiły list państwowych siedem, przynajmniej pięć list (łącznie z „ukraińskiemi“) reprezentuje żywioły zbliżone do komunizmu. Oprócz tego pojawił się jeszcze nowy typ list: listy pod względem narodowym mieszane, któremi są polsko-niemiecka lista Polskiej Partji Socjalistycznej (Nr. 2) oraz polsko-żydowska lista Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (Nr. 1). Na liście nr. 2 kandyduje między innymi znany z gwałtownych, nie liczących się z nakazami przyzwoitości wystąpień w Sejmie członek „Zjednoczenia posłów niemieckich“ p. Emil Zerbe. Na liście Nr. 1 kandydują między innymi członkowie Koła Żydowskiego: pełen temperamentu p. Wiślicki (pożyteczne byłoby spopularyzować... fotografję tego kandydata, aby polski wyborca wiedział przynajmniej, na kogo głosuje) oraz p. Eljasz Kirszbraun, wiceprezes organizacji *„Szojmej Emunej Israel“*, członek prezydjum Koła Żydowskiego w Sejmie, publicysta pisma *„Der Jud“*. Solidarność, która z temi ludźmi łączy kandydującego z nimi wspólnie n. p. prof. J. K. Kochanowskiego (jak choinka obwieszonego wszelkiemi możliwemi orderami) jest znamiennym objawem czasów jakie przeżywamy. Fakt, że prof. Kochanowski, Jakób Bojko, czy Janusz ks. Radziwiłł bliżsi czują się moralnie pp. Kirszbrauna i Wiślickiego niż np. Wojciecha Trąmpczyńskiego, Romana Rybarskiego czy Witolda ks. Czartoryskiego, przeciw którym wspólnie z Kirszbraunami staje do walki, nie powinien zatonąć w niepamięci...

Lista Komitetu Wyborczego Katolicko-Narodowego otrzymała Nr. 24. Dopiero po ustaleniu kandydatów listy nr. 24 w poszczególnych okręgach, społeczeństwo posiadać będzie pełny obraz tego, w jaki sposób obóz katolicko-narodowy skonstruować pragnie przedstawicielstwo swe w nowych Izbach prawodawczych, jednakże już ogłoszone dotychczas listy państwowe kandydatów do Sejmu i Senatu zawierają nazwiska nie od dziś posiadające zasłużone zaufanie najszerszych kół społeczeństwa. Na czele listy kandydatów do Sejmu postawieni zostali: Wojciech Trąmpczyński, Roman Rybarski, prof. Adam Żółtowski, na czele listy kandydatów do Senatu: prof. Stanisław Głąbiński, Witold ks. Czartoryski i dr. Jan Załuska.

Dn. 13 stycznra r. b. krakowski dziennik „Głos Narodu“ ogłosił wiadomość, iż ks. Zygmunt Kaczyński b. poseł i współredaktor „Rzeczypospolitej“, w liście do klubu sprawozdawców parlamentarnych ujawnił nazwiska sprawców głośnego napadu na red. Mostowicza. Są nimi według informacji ks. Kaczyńskiego — przodownik policji Sikora i oficer Komendy Miasta Kosiński. Rzecz znamienna: ani ks. Kaczyński, ani redaktorowie kilkudziesięciu różnych pism w kraju powtarzających tę wiadomość nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności, żaden dziennik niepodległ z jej powodu konfiskacie, aczkolwiek proces w tej sprawie niewątpliwie przyczyniłby się do ostatecznego wyjaśnienia skandalicznej tajemnicy. Nie wystąpili również w obronie swej czci na drogę sądową pp. Sikora i Kosiński. Z drugiej strony o aresztowanie pp. Sikory Kosińskiego także nic, jak dotąd, nie słychać...

Rząd polski wysłał do Kowna jako specjalnego kurjera Adama hr. Tarnowskiego, który zawiózł notę do rządu litewskiego, proponującą rozpoczęcie bezpośrednich rokowań między obu państwami. Aczkolwiek już dnia 16 stycznia p. Adam Tarnowski otrzymał od rządu litewskiego notę z odpowiedzią, brzmienie tej noty dotychczas nie zostało społeczeństwu polskiemu podane do wiadomości, natomiast dn. 19 stycznia pojawiła się następująca depesza P. A. T. z Berlina:

„*Vossische Zeitung*“ donosi z Kowna, że odpowiedź Waldemarasa na notę rządu polskiego wywarła w Kownie wielkie wrażenie. W tamtejszych kołach politycznych obawiają się, że aroganckie stanowisko Waldemarasa może ponownie doprowadzić do krytycznego stanu w stosunkach polsko-litewskich...

Społeczeństwo polskie pragnie poznać odpowiedź p. Waldemarasa w dosłownem brzmieniu, aby jasno zdać sobie sprawę do jakich wyników doprowadziła akcja polityczna marsz. Piłsudskiego w stosunku do Litwy w przeddzień i podczas ostatniego posiedzenia Rady Ligi Narodów.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

ELEGJE ŻEROMSKIEGO

NAKŁADEM Mortkowicza wyszedł zbiór 51 artykułów Stefana Żeromskiego w układzie d-ra Wacława Borowego. Spory ten tom. o 426 stronicach, zaopatrzony w *fac-simile* autografów autora, pisanych na krótko przed śmiercią, zawiera siedem urywków dotąd niedrukowanych, oraz resztę przedruków mało znanych lub zapomnianych, z czasu od 1889 do śmierci Żeromskiego. Układ Borowego budzi poważne wątpliwości. Całość dzieli bowiem wydawca na grupy pomniejsze o charakterze nieoznaczonym, oddzielając w ten sposób od siebie ustępy, ściśle ze sobą ze względu na treść związane, n. p. dwa fragmenty o Włochu Nullu, poległym w naszem powstaniu r. 63-go, albo też trzy artykuły o Conradzie. Szczególnie zaś nieumotywowany jest układ w obrębie każdej grupy; wydawca stosuje tu bowiem zasadę odwróconej chronologji, umieszczając naprzód utwory późniejsze, na końcu zaś — najwcześniejsze. Trudno przejrzeć celowość tego rodzaju pomysłu.

Natomiast na uznanie zasługują przypisy, przytaczające n. p. młodzieńcze próby poetyckie Żeromskiego, oraz artykuły polemiczne Arcybaszewa, Pawlikowskiego i in.; Zwłaszcza sławny list tego ostatniego przeciw projektowi Żeromskiego pochowania Słowackiego w grocie Kościelca w Tatrach przypomina nam najdobitniej całą ówczesną polemikę, unaoczniając psychikę romantyczną jednego i realistyczną — drugiego.

Całość artykułów Żeromskiego skupia jak w soczewce ewolucję poety od przeczulonego uczuciowca i romantyka, ujmującego rzeczywistość bytu polskiego jeno przez wzruszenie i mającego za cel jedynie wzruszyć czytelnika — aż do społecznego entuzjasty pracy organicznej, silącego się ogarnąć całokształt potrzeb bytu narodowego. Czy mu się jednak udaje przejrzeć rzeczywistość? Sądzę, że nie, że do końca Żeromski nie przestaje być jeno literatem, że do końca nie pojmuje mechaniki życia społecznego.

Pomimo to ciekawy jest konflikt jego z Piłsudskim na tle, jak mówi Dmowski „zagadnienia głównego“ bytu polskiego: na wschód, czy na zachód? Na krótko przed śmiercią (1925) wypisuje on takie słowa oburzenia: „Odwieczny nasz błąd: zwracanie się twarzą, piersiami, natężeniem pasji i wszystkich sił do walki i zmagania się ze wschodem — znowu toczy nasz organizm i nasze jestestwo“. (str. 206) Ciekawy wreszcie jest szczery i bezinteresowny entuzjazm poety do nauki polskiej oraz próba zrozumienia doniosłości spolszczenia naszego handlu. Nadewszystko jednak zasługuje na uwagę zbliżenie się Żeromskiego do zagadnień religijnych, dla których obojętność była u niego jedynem może dziedzictwem pozytywizmu. W książce omawianej o zainteresowaniu się religją świadczą obszerne wypisy z dzieła Rubczyńskiego: „Filozofja życia duchowego“. skąd Żeromski, przepisuje n. p. takie zdanie: „Światem włada rozumna, sprawiedliwa i miłosierna Potęga“, oraz: „Boska Miłość Zbawiciela jednoczy ludzi i im się udziela“.

Wszystkie te momenty, pojawiające się u Żeromskiego na schyłku żywota, pozwalają stwierdzić w nim zmierzch psychiki socjalistycznej i t. zw. „postępowej“, oraz skłonność ku ideologji nacjonalistycznej, której jednak poeta już nie zdążył rozwinąć.

S. C.

LEKTURA DLA MŁODZIEŻY

POUCZAJĄCY to objaw, że ostatniemi czasy nietylko raz do roku koło gwiazdki, ale i przez szereg innych miesięcy pojawia się u nas sporo książek dla młodzieży—książek naprawdę dobrych, zarówno pod względem literackim jak i estetycznym. Widać, że lektura tego typu zyskuje sobie coraz większą wziętość i uznanie.

Pod ogólnym tytułem „Dobre książki dla młodzieży“ ukazała się nakładem warszawskiego „Tow. Wydawniczego“ spora juz garstka tomików o niezaprzeczonej wartości literackiej. Zwrócić uwagę chciałbym zwłaszcza na dwa, które wyszły z pod pióra utalentowanej nowelistki Marji Dąbrowskiej, doskonałej odtwórczyni życią podwórkowo-dworskiego. W tę dziedzinę autorka „Ludzi stamtąd“ sięgnęła ponownie w opowiastce p. t. „Przyjaźń“; opowiastka ta — o dworskim paniczu, który zaprzyjaźniwszy się z kaleką-parobkim, pielęgnował go w chorobie—ma głęboki podkład etyczny, a w szczegółach jest naprawdę wzruszająca. Na motywach chłopięcej psychologji oparta jest również opowiastka o „Marcinie Kozerze“—młodym Polaku, wychowanym w Anglji, który zwolna uświadamia sobie swą przynależność narodową. Kolędowa nuta wigilijna wiąże tę opowiastkę z „Uśmiechem dzieciństwa“ tejże autorki; nie brak też pewnych refleksów z Reymontowej „Księżniczki“, a poniekąd i z Dickensa. W angielskich zwrotach tu cytowanych trafiają się omyłki gramatyczne.

Nie o Polakach w Anglji, lecz na odwrót o Anglikach w Polsce, wspomina dwutomowa powieść Z. Urbanowskiej „Róża bez kolców“ wydana nakładem „Książnicy“ w „Bibljotece Iskier“. Powieść ta — która w pierwszem wydaniu pojawiła się przed dwudziestoma laty—opowiada

o przyrodzie Tatr, zwłaszcza o górskiej florze; tego rodzaju powieści „przyrodniczych" — i to tęgich mieliśmy swojego czasu kilka, że wspomnę „Atlantę" i „Gucia zaczarowanego"... może wartoby je wznowić w „Bibliotece Iskier", która przecie wydała przed paroma laty dwa tomiki przyrodniczych pogadanek Fabre'a.

Inne nowe tomiki tejże „Bibljoteki" mają treść awanturniczą (w dobrem znaczeniu tego słowa). „Walka światów" H. Allorge'a jest jakby warjantem pomysłów Wellsa i w pewnej mierze J. Verne'a („Wyprawa na księżyc", „Hector Serdac"). Z radością należy powitać oryginalną powieść marynarską K. A. Czyżowskiego „Jim żeglarz"—gdyż na tem polu literatura polska mało jeszcze się popisywała. Sądzimy, że nie da się w tym względzie wyprzedzić redakcja „Świata podróży i przygód" która w prospekcie zapowiedziała, że obok dzieł literatury obcej wprowadzać będzie i utwory oryginalne, polskie. Narazie wydała parę tomów pisarzy angielskich (w tem niedocenione u nas jeszcze utwory Sabatiniego, nie mówiąc o Marku Twain'ie), ale i w tem poniosła zasługę, przedewszystkiem tę, że zamiast praktykowanych dawniej „przeróbek" (raczej okrojeń) dawać zaczęła prawdziwe, całkowite przekłady, bez żadnych zmian fabuły i opuszczeń. Takby należało kiedyś u nas wydać nieśmiertelne dzieło Swifta o liliputach i olbrzymach oraz słynnego „Robinsona" Defoego przyswajanego dotąd naszej literaturze w dowolnych zupełnie, a często karygodnych zniekształceniach.

Za przykładem „Świata podróży" poszła i księgarnia św. Wojciecha, ogłaszając — pierwszy pono w Polsce—przekład c a ł k o w i t y głośnego „Ostatniego Mohikanina" Fenimore'a Coopera. W inne strony egzotyczne—pod nieba Indyj — przenosi nas także wydana powieść Salgari'ego „Góra światła"; natomiast „Mozaika wilcza" Konrada Machczyńskiego, opatrzona przedmową J. Ejsmonda, mówi o niemniej naprężających myśliwskich przygodach, jakich można doznać—w naszym kraju, gdzie na kresach rozwielmożniły się przybyłe z Bolszewji wilki. O przygodach leśnych, niekiedy nawet indjańskich, choć na ziemi polskiej, opowiadają dwie miluchne książki, wydane prześlicznie przez Wydawnictwo Polskie; są to: „Lato leśnych ludzi" M. Rodziewiczówny i K. Makuszyńskiego „Bezgrzeszne lata"—obie książki ilustrował Kamil Mackiewicz. Szatą zewnętrzną do nich się zbliża—wydana tymże nakładem — powieść szwajcarskiej pisarki Joanny Spyri, zatytułowana „Heidi"; takie imię nosi mała pastereczka-góralka, o bardzo dobrem serduszku, bawiąca czas jakiś w towarzystwie chorej panienki „z dobrego domu".

Nietylko rozrywce, ale i celom pedagogicznym ma służyć nowa edycja znanych bajek Jachowicza, ułożonych metodycznie pzzez Stefanję Posadzową, a wydanych w Bibljotece Wychowania Przedszkolnego, nakł. księg. św. Wojciecha. Wydawczyni doskonale charakteryzuje rolę Jachowicza jako pedagoga: jako nauczyciela przyrody, religji i języka ojczystego. Słuszne jest żądanie, że w dziecku należy rozwijać pamięć (a wiersze do tego dobrą są drogą), ale dbać i o jej świeżość. Bajki Jachowicza, winny odzyskać znów, przynajmniej niektóre dawne uznanie. Wobec prądów pedagogicznych, głoszących, jakoby w dziecku nie trzeba było rozwijać pamięci i polegać tylko na jego własnym rozsądku — którego jeszcze nieposiadło—warto przypomnieć stary morał jachowiczowski:

Pamiętaj Hipolitku, coś mówił do Kruczka,
że za młodu najlepiej uda się nauczka.

JÓZEF BIRKENMAJER

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W szeregu szkiców pośmiertnych Konstantego W o j c i e c h o w s k i e g o p. t. „Przewrót w umysłowości i literaturze polskiej po r. 1863". (Lwów, Książnica Atlas, 1928) wyróżnia się szczególnie rozprawa naczelna, od której zbiór wziął tytuł. Jest to ciekawa analiza genezy „Stańczyków" w Krakowie i pozytywizmu w Warszawie. Drugie, również obszerne studjum, omawia zagadnienie miłości w naszej literaturze do „Wallenroda" włącznie. Artykuły o balladach Mickiewicza oraz o Kaczkowskim zamykają ciekawą książkę Wojciechowskiego, który miał dziwnie rzadką wśród nowych historyków literatury cechę łączenia jasności ze ścisłością i wielkiego talentu pedagogicznego z gruntownością. Książkę wydali starannie uczniowie zmarłego.

*

Literatura łowiecka znów u nas rośnie. Zamilkł wprawdzie mistrz tego działu literackiego, Weyssenhoff, ale liczba pisarzy-myśliwych wcale pokaźnie się przedstawia. Prym tu dzierży Ejsmond, po nim idą inni, jak Korsak, Krzywoszewski, ks. Niedbał i E. Krasiński („Obrazki Łowieckie").

Obecnie nakładem „Ossolineum" wyszła pięknie wydana książka — ozdobiona ilustracjami Sichulskiego — napisana przez St. W. O r s k i e g o (czy pseudonim?) a nosząca tytuł „A było to wczas rano". Opowiadania tu zawarte, mające za treść łowy w górach karpackich przed samą wojną i podczas wojny, wykazują wiele zalet stylu, a wątek ich wcale interesujący, choć już wielokroć przez innych podejmowany. Szczery, niefrasobliwy humor, wynikający bądź z sytuacji, bądź z czyjegoś zabawnego powiedzenia (zwłaszcza Hucułów, towarzyszących łowcom), to znowu pełne niekłamanego sentymentu obrazy przyrody — nieraz chwytają czytelnika za serce.

*

Niszczeje, ginie w oczach, oblicze dawnej Polski. Czego nie wdeptała w ziemię stopa wojny, to burzy postęp przemysłu lub co gorzej niedbalstwo i brak zrozumienia wartości. To też cennem jest *pro memoria* utrwalanie w piśmie i obrazie obecnego stanu rzeczy, o ile to jest dokonywane z należytem znawstwem i poczuciem. Do najlepszych z zakresu historji kultury popularnych wydawnictw zaliczyć można przedewszystkiem książkę W a c ł a w a Ś w i ą t k o w s k i e g o, „Płockie i Południowa Lubelszczyzna". Podobnie, jak w swych dwóch poprzednich książkach („Suwalszczyzna i Okolice Nadniemeńskie" oraz „W Dorzeczu Narwi") autor notuje wszystko, co z tradycją, pięknem i charakterem zwiedzanej okolicy ma związek. W obrazkach i opisach przesuwają się, jak w ruchomej panoramie, krajobrazy, pałace, dwory, ruiny zamków, opactwa, kościoły, więzienia, ratusze i cerkwie, a wśród nich charakterystyczne typy ludowe. Książka posłużyć może za przewodnik wycieczkowy, nie tylko wśród zewnętrznych pokazów kultury, ale i w krainie wspomnień, bo autor na wszystko patrzeć umie z nauko ej perspektywy dziejowej. Podziwiać też należy jego trud w wyszukaniu historycznych źródeł i z uznaniem podkreślić miły dar jego opowiadania.

*

Trzeci zeszyt czasopisma wileńskiego p. t. „Źródła Mocy" zawiera przedewszystkiem dłuższy fragment misterjum wigilijnego p. T. Łopalewskiego p. t. „Betleem Ostrobramskie", sztuki odegranej przez „Redutę". Rzecz ta wywołała w prasie wileńskiej gorącą polemikę, która zresztą doszła aż do Warszawy i Poznania. Następnie w zeszycie trzecim „Źródeł Mocy" mamy dwie rozprawy prof. Pigonia, z których zwłaszcza pierwsza o filomatach w cz. I „Dziadów" rzuca ciekawe światło na omawiany utwór. P. W. Charkiewicz w zajmującem studjum p. t. „Soplicowo we wklęsłem zwierciadle" omawia Satyrę Placyda Jankowskiego, wydaną w r. 1875 i będącą jak gdyby poprzedniczką dzisiejszych ataków na „P. Tadeusza". Obszerna kronika, omawiająca życie kulturalne wileńskie, zamyka interesujący zeszyt.

*

Naszej literaturze pedagogicznej przybyła, napisana w sposób zawodowy i metodyczny, rozprawa Stanisławy S a r j u s z-W o l s k i e j, „Zarys Wychowania Moralnego i Obywatelskiego, z przedmową prof. d-ra Zygmunta Kukulskiego" (Skład Główny w Księgarni Polskiej Macierzy Szkolnej). Przedmiot rozprawy jest tak u nas, jak i wogóle aktualny, bo, jak w przedmowie mówi prof. Kukulski „dawniej pedagogika zjawiała się w krytycznych momentach dziejowych, by przestarzały system wychowawczy przywrócić do harmonji z duchem czasu; dziś zaś, kiedy indywidualna osobowość stała się zasadniczym pierwiastkiem kultury intellektualnej i moralnej, pedagogika okazała się nieodzownym pomocnikiem wychowania,... Oby nie popadła w jarzmo nawyknień i nie skostniała w automatyzmie". W rozdziałach książki: podstawy wychowania, kształcenie uczuć i kształcenie poczucia odpowiedzialności, autorka w sposób istotny i wyczerpujący omawia różne wskazania pedagogiczne. A motywy tych

wskazań stroi w aforyzmy wybitnych obcych i polskich wychowawców narodu i społeczeństwa. Obok zdań Kukulskiego, Lutosławskiego, Szczepanowskiego, Wasilewskiego i Woronieckiego zdałyby się też myśli pominiętych zupełnie, takich klasyków pedagogiki jak Danysz i Karbowiak. Natomiast szczęśliwie można było zrezygnować z opinji osławionego kuglarza, „księdza" Czesława Oraczewskiego.

*

Wiadomo, że dla ucznia studjującego historję, największą trudność zawsze stanowią daty, nad których zapamiętaniem wielce musi się biedny sztubak namozolić; zdarza się słyszeć z ust uczniowskich powiedzenie, że gdyby dat nie było, historja byłaby najmilszą z nauk. Ułatwienie tej trudności umysłom młodocianym wziął sobie za zadanie prof. Władysław Bogatkiewicz, wydając pod powyżej podanym tytułem przejrzysty skorowidz wszystkich dat narazie tylko na obszarze historji starożytnej—ale są już w przygotowaniu dalsze części, obejmujące historję średniowieczną i nowożytną. Nie jest to — jakby ktoś mógł sądzić—suchy wykaz cyfr i szczegółów, jaki spotkać można było np. na końcu dawnych podręczników Semkowicza i in.; celem synchronistycznych tablic Bogatkiewicza jest nie sama tylko chronologja, ale przedewszystkiem przyczynowy związek faktów oraz ich objaśnienie; „fakta" zresztą należy tu pojmować nie w znaczeniu samych zdarzeń, w rodzaju jakiejś tam bitwy lub wstąpienia na tron jekiegoś tam, często małoznacznego, monarchy—owszem, najobszerniejszą rubryką otrzymała kultura, o której tu podano zapas szczegółów bodajże obfitszy, niż w urzędowych podręcznikach, tak iż uczeń wziąwszy sobie przed maturą do rąk takie repertitorjum, może się wiele rzeczy nowych douczyć. Za usterkę książki—doskonałej w każdym innym względzie—trzeba uznać nieujednostajnienie wymowy nazwisk starożytnych, co do których należało przyjąć za wytyczną bądź pisownię grecka bądź łacińską bądź spolszczoną, a więc nie pisać np. Egospotamoi, tylko Ajgospotamoj lub Egospotami, nie umieszczać Cyaksaresa obok Kimona, tylko już przyjąć dla konsekwencji formę: Cymosa: Poliorketa nazwałbym nie Dymitrem, ale Demetrjuszem, bo choć imię jest to samo, ale w formie pierwszej tylko używane, gdy mowa o Rusinach lub Rosjanach—stąd, naodwrót, za błąd poczytuję tłumaczom Schillera, że tragedji jego dają tytuł „Demetrjusz". Wreszcie zauważę, że tyran ateński zwał się nie Pizystrates, ale Pejsistratos, po polsku Pizystrat. Ale usterki te (do których zresztą przyznaje się sam autor) są tak nikłe, że nie zaszkodzą bynajmniej szybkiemu rozpowszechnieniu się książki Bogatkiewicza wśród młodzieży szkolnej.

*

Leżą przed nami dwa ostatnie zeszyty czasopisma krakowskiego „Sztuki Piękne" (październik—listopad 1927), wychodzącego pod redakcją prof. Władysława Jarockiego. Treść niezwykle bogata, całe album pysznych reprodukcyj, doskonałe też artykuły. A więc: 1) Tadeusz Pruszkowski—napisał Szczęsny Rutkowski; 2) Antipendium z herbami Anny Jagiellonki i Ludwiki Marji Gonzagi w Skarbcu Wawelskim — napisał Ks. Dr. Tadeusz Kruszyński. 3) Kronika artystyczna. Numer zdobi 26 redrodukcyj w tekście oraz 1 trójbarwna plansza z obrazu Pruszkowskiego: „Ryby". W następnym zeszycie: 1) Ignacy Pieńkowski—napisał Franciszek Klein; 2) Stanisław Wyspiański; 3) Źródła twórczości Fra Angelico—napisał Mieczysław Sterling; 4) Kronika artystyczna. Numer zdobi 25 reprodukcyj oraz 1 rotogr. z obrazu Ignacego Pieńkowskiego „Sniadanie".

W nr. trzecim za grudzień 1927: Ludomir Sleńdziński — napisała Marja Leonja Jabłonkówna, Źródła twórczości Fra Angelico—Sterling. Numer zdobi 19 reprodukcji w tekście oraz rotograwjura z obrazu Ludomira Sleńdzińskiego „Studjum portretowe".

Cena egzemplarza 6 zł., prenumerata kwartalna 17 zł. Do nabycia we wszystkich księgarniach i w Admiuistracji „Sztuk Pięknych" Kraków, Wolska 19.

*

Olbrzymie dzieło propagandowe o Polsce współczesnej, wydane w trzech językach (francuski, angielski i niemiecki) przez „*Wiener Algemeine Zeitung*", oczywiście kosztem Rządu Polskiego, posiada niewątpliwą wartość objektywną, przedewszystkiem dzięki 1,500 portretów i ilustracyj, a także ze względu na umiejętne opracowanie niektórych działów (n. p. artykuły Chybińskiego i Niewiadomskiego o polskiej muzyce współczesnej, Noakowskiego—o architekturze, prof. Piaseckiego—o wychowaniu fizycznem, prof. W. Goetla—o Tatrach i t. d.) Jednak posiada ono sporo braków, które poczęści wynikają tu i owdzie z niefortunnego doboru artystów. Więc mamy np. kadzielnicę uwielbienia na cześć obecnego Prezesa Ministrów pióra Sieroszewskiego oraz trzy jego portrety.

Polityka polska, która doprowadziła nas do niepodległości, właściwie zupełnie została pominięta. O Dmowskim n. p. dowiaduje się z tej książki obcy czytelnik tylko tyle, że był on ministrem spraw zagranicznych, zaś o roli jego podczas wojny i konferencji pokojowej—ani słowa. Niektóre strony współczesnego życia polskiego zostały całkowicie pominięte, n. p. życie religijne oraz duchowieństwo, a także stany wolne, które mają przecież nadzwyczaj zasłużonych przedstawicieli. Szkoły w pierwszym zaś rzędzie uniwersytety, zostały omówione jedynie pośrednio. Nauka została też potraktowana nieumiejętnie, brak n. p. wzmianki w rozdziale o filozofji polskiej—o Lutosławskim, Twardowskim, Witwickim... Literatura też została potraktowana po macoszemu, n. p. 20% całości studjum poświęcono „Wiadomościom Literackim" i wogóle literaturze żydowskiej. Za to teatr wybujał ponad wszelką miarę. Jeżeli bowiem literaturze poświęcono tylko 19 str. (z 31 portretami), gdy prasa reprezentuje 27 podobizn dziennikarzy, to teatr rozparł się na 34 stronicach i może się pochwalić aż 120 portretami, oczywiście niekoniecznie znakomitych aktorów.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Maurycy Simart autor „*Un coeur de quarante ans*" (Baudinière) jest prawdziwym powieściopisarzem; w książce jego nie znajdziemy sztucznych akcentów, przeciwnie jest duża czczerość myśli i uczucia. Michel Armingault, bogaty przemysłowiec stracił żonę. Z tego małżeństwa, zresztą zupełnie niedobranego, Armingault ma córkę Annie, która jednakowoż wychowuje się na prowincji. W chwili, kiedy Annie decyduje się przenieść do Paryża, celem przeprowadzenia dalszych studjów, między ojcem a córką nie istnieją serdeczniejsze węzły uczuciowe. Powoli jednak Armingault zaczyna się nią coraz żywiej interesować, a także i jej młodziutką przyjaciółką, osiemnastoletnią Renée. Jej to wdzięk obudzi w sercu czterdziestoletniego człowieka silne uczucie miłości, ale równocześnie i zazdrość swego własnego dziecka. Rozwój tych dwóch, równoległych, uczuć przedstawił p. Simart bardzo trafnie.

*

„*Grand-Louis l'Innocent*" (Rieder) nie należy do rzędu t. zw. powieści „nowożytnych": Akcja jej cała rozgrywa się nad morzem w Bretanji, skąd pochodzi autorka, p. Marja Le Franc. Młoda kobieta, imieniem Ewa zamieszkuje samotne domostwo, położone pomiędzy wrzosowiskami. Próg jego przestępuje jakiś człowiek nieszczęsny, ale piękny, który zatracił pamięć swojej przeszłej egzystencji, a nowa robi z niego jakąś istotę tajemniczą, która niemal, że wysłowić się nie może. Ewa przywiązuje się doń i stara w nim obudzić jego uśpione uczucia i inteligencję. Grand-Louis pozostanie jednak do końca melancholijnem, wielkiem dzieckiem i łagodnym dzikusem. Nad tą przedziwną idyllą bretońskiej krainy, na której temat autorka wysnuła prawdziwy poemat prozą, czuwa nieskończoność niebios i wód oraz pachnące wrzosowiska, roztaczające się dookoła Port-Navalo. Dodać należy, że książka p. Marji Le Franc otrzymała w tym roku nagrodę „*Femina, Vie Heureuse*".

*

P. Réne Jouglet, autor „*Le Bal das Ardents*" w swojej nowej powieści „*Frères*" (Grasset) odmalowuje tragiczny konflikt dwóch braci, Michała i Piotra Cordoun, kochających tę samą kobietę, a jest nią Franciszka, żona Michała. Ten ostatni jest potentatem finansowym, Piotr zaś artystą. Uczucia młodej kobiety są niezdecydowane, aż do chwili, kiedy ta walka bratobójcza dojdzie do paroksyzmu i Piotr strzeli do jej męża. Franciszka jest jednak przekonana, że chciał się on zabić dla nie i wtedy całą swą miłość skoncentruje na nim. P. René Jouglej z dużem psychologicznem wyczuciem przeprowadził dramat zazdrości pomiędzy braćmi, a również bardzo trafnie odtwotrzył charakter bohaterki, wahającej się w swych uczuciach i zaostrzającej swem niezdecydowanem stanowiskiem dramatyczną sytuację. Styl prosty, ale silny, przykuwa uwagę czytelnika doborem niewyszukanych, lecz trafnych opisów.

*

„*Amm Stramm Gramm*" (Albin Michel) to pierwsza powieść wielkiego dziennikarza, jakim jest Edouard Helsey, który zresztą na progu swej karjery literackiej dał odrazu dowód dużego i subtelnego talentu. Opowieść to pełna finezji o młodej, nieszczęsnej dziewczynie Franciszce, przezwanej Amm Stramm Gramm. Przechodzi ona bolesne koleje losu, aż wreszcie dostaje się pod wpływ intelektualny „Wielkiego Karola", który stara się wpoić w jej naiwny umysł, że wszystko jest nicością, wobec tego życie ludzkie nic nie warte. Te wywodzenia filozoficzne mają na celu doprowadzenie Franciszki do zabicia jej bogatego towarzysza. I Amm Stramm Gramm otruje go rzeczywiście przez ciekawość, ale potem dręczona wyrzutami sumienia swego prostego serca, zakopie na grobie tegoż cały majątek, jaki do niej miał należeć. W powieści Edwarda Helsey wiele jest ciekawych obrazów, głębokiej obserwacji i delikatnej melancholji.

*

Jerôme Tharaud, który jak wiadomo był sekretarzem Maurycego Barrèsa publikuje w „*Revue Hebdomadaire*" „*Mes Annés chez Barrès*". Są to nadzwyczaj interesujące wspomnienia o życiu i twórczości wielkiego pisarza.

„LUCYFER“ SŁOWACKIEGO

(*Rozmowa ze Stanisławem Wyrzykowskim*).

W OPUBLIKOWANYM niedawno w „Myśli Narodowej“ artykule[1]) p. Stanisław Cywiński zaznacza, że czas nareszcie zapoznać się z inscenizacją „Zborowskiego“, dokonaną przez St. Wyrzykowskiego. Pobudzony temi słusznemi słowami, a mając przytem dość słabą nadzieję, byśmy wspomniane opracowanie rychło ujrzeć mieli na deskach Teatru Narodowego, poprosiłem inscenizatora o parę szczegółów z jego pracy.

— P. Cywiński—zaczynam—akcentuje niewłaściwość zatytułowania dramatu jako „Zborowskiego“. Już Tretiak pisał, że decyzja w tej mierze jest niedoskonała, a postać Bukarego—Adwokata— Lucyfera w rozwoju akcji tak wysuwa się na czoło, że czytelnik istotnie podlega wrażeniu chaotyczności, gdy ma na pamięci tytuł narzucony. Notatka Słowackiego „Samuel Zborow.“ na jednej ze środkowych kart autografu nie może tu rozstrzygać o wyborze nazwy. Słusznie przyjęto, że w rzeczach pozbawionych tytułu dawać należy tutulację najformalniejszą, niezawierającą domieszki dowolnych upodobań wydawcy, a wynikającą ściśle z treści; chodzi o to, co będzie tą trafną nomenklaturą formalną. Możeby Pan zechciał się w paru słowach wypowiedzieć?

— Najchętniej. W mojem opracowaniu dramat Słowackiego ma nagłówek: „Lucyfer“ — tytuł, który właśnie daje klucz idei utworu.

— Czy ciągła pamięć o lucyferyzmie dramatu usunie to wrażenie pewnego rozdwojenia kompozycji, rozdwojenie, które jeszcze za czasów studenckich w dramacie mnie niepokoiło?

— Jestem pewien, że tak. Dramat jest ukończony, choć nie wykończony, a skonstruowany przedziwnie jednolicie. Jeżeli Pan sądził kiedykolwiek inaczej, to dlatego, że pozostawał Pan pod wpływem poglądów krytycznych, przyjmujących *in verba magistri* tytuł nadany przez Małeckiego. Ale przedewszystkiem: co to jest lucyferyzm? Odpowiadam: Lucyferyzm jest to nieubłagana fatalność indywidualizmu, która sprawia, że „duch życia“ usamowolniony przez Boga, poznawszy odrębność swej jaźni oraz swą niezależną moc twórczą, ulega zdrożnej pysze i popada w zatarg ze swym Ojcem Przedwiecznym z powodu różnego stopnia dojrzałości. Jest to zatarg, którego przejawem w stosunkach doczesnych bywa rozterka między ojcami a synami, starymi i młodymi. Niedojrzałość prowadzi Lucyfera do szaleństwa („Tworzył okropności z szalonego ducha“), a przejrzałość Zamoyskiego do zastoju. Konflikt między Samuelem a Kanclerzem jest również zatargiem między niedojrzałością a przejrzałością. Słowacki rozwiązuje ten zatarg Chrystusowem zaklęciem miłości. Gdyby można za przykładem Shelley'a dawać tytuły podwójne („Alastor czyli duch samotności“), to tytuł dramatu powinienby brzmieć „Lucyfer czyli duch życia“; tak nazywa go sam poeta we wspaniałej „strofie“ aktu III, w którym szczegółowo określa jego atrybuty.

— Czy nie zechciałby Pan jeszcze pokazać na przykładzie zmiany czy wyjaśnienia, jakie w stosunku do ustalonego ostatnio tekstu w wydaniu jubileuszowem, lub do komentarzy wprowadził Pan w opracowaniu swojem?

— Owszem. — Istotny stan rzeczy od początku oczywiście mógł być tylko jeden; autograf bez podziału na akty, w znacznej mierze bez oznaczenia *dramatis personarum*, nadto obejmujący zespolenie różnych wariantów i utworów, powodował omyłki interpretacyjne i wydawnicze. Powiem jeszcze parę słów o tem, o czem zasadniczo mówiliśmy, t. j. o samym Lucyferze. Jak wiadomo, osią dramatu jest idea metampsychozy i ewolucji. Lucyfer jest królem duchów, do których zaliczają się Eolion-Zborowski. Odwróciły się one od Boga, bo bhoć mają one świadomość Jego wielkości i potęgi, opanowane są też przez poczucie własnej niezależnej siły twórczej. Rola Lucyfera zarówno w pierwszej części dramatu, gdy jako strzelec Bukary wdaniem się swem (*spiritus movens*) powoduje przerzucenie się ducha Eoliona napowrót w Samuela i umożliwia w ten sposób sąd w paręset lat po egzekucji, jak i potem, gdy staje się adwokatem tegoż — jest równie ciągła, jak rola Eoliona, ale o tyle istotniejsza, że skupia w sobie najwyższy sens konstrukcji. I w związku z tem, wbrew — tym razem — p. Cywińskiemu, twierdzę: Słowacki w scenie sądu bądź jako Bukarego, bądź jako Adwokata bądź też wreszcie jako kogoś przerwanego: Ja — zawsze oznacza Lucyfera; cały ważny głos Jego (nie Mój) jest całkiem pewnie również przemówieniem Lucyfera, z tą tylko różnicą, że ustęp ten stanowi niejako metafizyczne uzasadnienie indywidualizmu, jako czynnika, rozstrzygającego o strukturze duchowej Polski. Proszę zauważyć, że niedaleko przed temi wierszami Lucyfer na pytanie „kto ty?“ — odpowiada już: „Ja“. Jest on bowiem uosobieniem jaźni, przeciwstawionej Bogu. Proszę porównać przypisek do „Genezis“, gdzie osobiste Ja jest przeciwstawione nieosobowemu jam. Podobnie w „Królu-Duchu“, gdzie wspomniane bywa Ja człowiecze, ja ptasie, ja orne. Ta koncepcja jaźni stanowi ośrodek filozofji mistycznej Słowackiego. Lucyfer jest najznakomitszym przedstawicielem owego Ja, a że Polska jest ogniskiem indywidualizmu, więc uważa ją za swą doczesną ojczyznę i dlatego podejmuje się obrony indywidualisty Zborowskiego. Trzebaż się było w to wszystko wmyśleć, a wziąć też pod uwagę pośpiech. z jakim Słowacki Lucyfera notował. Biegeleisen w swem wydaniu Ja zmienił na Poeta, t. j. Słowacki, co jest dowodem niezrozumienia myśli przewodniej dzieła. Z wydania jubileuszowego czytelnik, nie mając tam objaśnienia, niczego nie odgadnie.

— Ze swej strony przypomnę, że W. Hahn w swym obszernym rozbiorze Zborowskiego idzie za Biegeleisenem. Podobnie i p. Cywiński. Prof. Kleiner zarówno w „Układzie i tekście dzieł Słowackiego“, jak i w „dziejach twórczości“ o Ja-Adwokacie mówi nad wyraz ogólnikowo.

— „Przewinienie“ nowego postawienia sprawy, czem p. Cywiński obarcza p.p. Horzycę i Schillera, biorę właśnie całkowicie na siebie...

— Otworzył więc Pan nielada perspektywy krytyczne. Bo identyczność Eoliona ze Zborowskim to też, jak mi się zdaje, całkiem nowy wynik studjów. Hahn tego się nawet nie domyślał.

— Jeśli mówić o autorytetach i erudycji, przypomina mi się, iż prof. Kleiner w zacytowanym przez Pana Układzie nie wykluczył możliwości, że w dramacie Diana równoznaczna jest z Ifigenją, przypuszczenie uzasadniając skłonnością poety do wieloimienności bohaterów. Proszę zajrzeć do ks. Alojzego Osińskiego „Słownika mitologicznego“ z lat 1806—1812; wyjaśniono tam, że Ifigenja jest nazwą Diany czczonej w Hermione, „którędy najkrótsza była droga do piekła“.

— A teraz chciałbym dowiedzieć się czegoś o podziale na akty.

[1]) Vide Nr. 22 z r. 1927: „Dlaczego inscenizację t. zw. „Samuela Zborowskiego uznać należy za niefortunną“.

— Tak jak samodzielnie zredagowałem tekst, tak samo podzieliłem na akty i obrazy; nietylko nie licząc się z pomysłami mych poprzedników, lecz i nie krępując się tą jedyną notatką inscenizacyjną („Akt II"), jaka z rękopisu przeszła do wydania jubileuszowego. Nie wątpię, że mój układ logiczność wątku dramatycznego należycie uwydatnia.

— Tu przypomina mi się jedno jeszcze pytanie, ostatnie: Zaznaczył Pan na początku, że to, co uważane jest za autograf Zborowskiego, zawiera rzeczy różne...

— Czyli, że nie należy do dramatu i że dlatego musiałem usunąć cudowny wiersz:

Błogosławiona jest ta, co się zowie
Między duchami Boga: Moje zdrowie...

Było to nieuniknione. Podobnież w t. zw. „Liście Apostolskim" (w „Mistyce" Pawlikowskiego — „Posłanie", w mojem wydaniu „Pism mistycznych" Słowackiego — „Ewangelja Prawdy"), pierwsze zdanie trzeba było wyłączyć, gdyż jest ono początkiem jakiegoś listu, nie przekreślonym w pośpiechu przez poetę, gdy zaczynał to szczytne Wyznanie Wiary. Trudno jednak przypuścić, jak chce Tretiak, żeby to miał być list do Krasińskiego, bo Słowacki żadną miarą nie mógł nazwać go „młodzieńcem, którego wizje są jeszcze pełne blasków latających". Ale to nie należy już do przedmiotu naszej rozmowy. TADEUSZ NEWLIN-WAGNER

TEATR

„JULJUSZ CEZAR" SZEKSPIRA

Teatr Polski rozporządza tak bogatym zespołem aktorów, że bezpośrednio po „Moralności pani Dulskiej" wystawić może Szekspirowego „Juljusza Cezara". A jak rozciągłą skalę talentu posiadają niektórzy artyści, dowodem — J. Leszczyński, który wczoraj grał młodego Dulskiego, a teraz Marka Antoniusza i to w sposób, zadawalający wysokie wymagania. Doskonałym Cezarem był Stępowski, Kasjuszem — Samborski, a główną w sztuce rolę Brutusa wykonał bardzo ładnie Adwentowicz. Przekład—Pajgerta.

Było to w tym teatrze wznowienie. Pierwszy raz wystawiono tam Cezara w czasie wojny niemal w tej samej obsadzie. Przedtem Warszawa widziała ją w r. 1885, gdy gościła artystów niemieckich z Meiningen. W teatrach lwowskim i krakowskim wystawiano Cezara już w r. 1865 i 1874.

Z wielkiego dzieła, żeby je przestosować do potrzeb normalnego wieczoru teatralnego, wiele tekstu wykreślono. Całość wszakże była zrozumiała. Nie robiła jednak należyłego wrażenia z powodu nadmiernych pretensyj reżysera w kieruuku zajmowania uwagi publiczności swojemi pomysłami z dziedziny techniki teatralnej. Teroryzm ten szerzy tutaj p. Schiller, forsujący wciąż swoje praktyki, pomimo, że nikomu się nie podobają i przeszkadzają publiczności. Akcja wywrotowa w rzeczach smaku artystycznego ma na celu odzwyczajenie ludzi od obcowania z przyrodą, ale doszła do przekonania, że trzeba wogóle pomylić człowiekowi stosunek do rzeczywistości plastycznej, pozbawiając ją cech pejzażu lokalnego i historyczności. Teatr, który się na tę akcję decyduje, powinien konsekwentnie temu nakazowi poddać całość. Nie ma sensu wystawianie w ten sposób dramatu historycznego z treścią, sławiącą wysokie ideały moralne i patrjotyczne starego Rzymu. Renesansowy, jak się mówi, „tryskający" życiem. Szekspir na tle Rzymu nie odpowiada zgoła formom skrajnego radykalizmu artystycznego, będącego właściwie bolszewizmem w sztuce. Trudno zrozumieć, dla czego mamy słuchać aktorów ubranych historycznie, wygłaszających całą pełnią głosu bohaterskie słowa, w jakichś mistycznych warunkach miejsca? Darmo autor przez usta aktora będzie przezentował taką a nie inną psychologję w oznaczonych ściśle warunkach miejsca i czasu; dekorator będzie mu robił na złość, zrobi wszystko, żeby słuchacz miał wrażenie, że wszystko to się dzieje wewnątrz jakiejś fabryki w XXV stuleciu. Nadomiar zgasi nad sceną słońce, aby publiczność słuchała stale w wnajcięższej depresji, jak koszmaru. Wyrafinowany aparat udręczeń i dla aktora i dla publiczności! Mogliśmy być w Rzymie, w Sardes i pod Filippami, a byliśmy stale za kulisami u p. Schillera. Tak bowiem wyglądają dekoracje z tyłu.

Podziwu godna metoda wskrzeszania sztuk na to, aby je mordować, forsowania doktryny naprzekór doświadczeniu. Z. W.

NOTATKI I MATERJAŁY

O CZYSTOŚĆ RASY

Nawiązując do notatki w n-rze 2-im „Myśli Narodowej" o komentarzu prof. Sinki do znanej apostrofy Wyspiańskiego w „Wyzwoleniu", nawołującej do ochrony czystości naszej rasy, godzi się wspomnieć, iż Słowacki wypowiada również myśli nader zbliżone do przedmiotu troski Wyspiańskiego. Oto w warjantach V rapsodu „Króla-Ducha" (wyd. Pawlikowskiego, odm. 165-8, str. 475; wyd. Gubrynowicza IV, 166) poeta nawołuje do poszukiwania „pod korą ciała pierwszej ciał przyczyny", zachęca przed złodziejem formy zamykać wrota, gdyż — przepowiada — inaczej „cudzy wiatr nam domy zamiecie". I jakby pijąc do Wyspiańskiego, głosi:

„Ktoś tam czoło polskie zakłopota
I będzie Boga przyzywać w żałościach,
Widzę te pustki ducha w polskich kościach".

To też, by ustrzec rodaków przed taką perspektywą. Słowacki doradza „postawić polską myśl nad poduszkami", aby nikt się taki do nas nie przybliżył, coby nam w starej naturze ubliżył. „Dlatego w kraju tyle dońców, którzy na ruski dźwięk jak owce biegą, że tóż nam dzisiaj anieli nie strzegą".

Następnie poeta, uzasadniając swą wybitnie nacjonalistyczną tezę, zastrzega się przed możliwym zarzutem pychy narodowej i szowinizmu. Oto chodzi mu o wyhodowanie prawdziwie silnego ducha, więc:

„Nie dlatego bym miał jaką wzgardę
W sercu jak człowiek przeciw człowiekowi,
Ale chcę, aby zamki były twarde
Na tych granicach, które duch stanowi".

Gdzieindziej wreszcie (we fragmentach, ogłoszonych w t. III „Lamusa") poeta przewiduje niebezpieczeństwo, które nastąpi, „jeżeli się natury duchów naszych ojczystych inną jaką miłością niż nasze zapalą". Wtedy różne „kruki duchowe podług natury zlecą się do ojczyzny naszej... fabrykanci i handlarze i studenty niemieckie, gdzieś w pojedynkach postrzelane, i grumy angielskie, których natura odpowiada rozmiłowanym w koniach ukraińskim magnatom... i te wszystkie istoty obudzą się w kołyskach polskich — uśmiechną się do matek Polek— nauczą się nawet wyrazu naszej świętej ojczyzny, i ukryją w ciele podłość natury, aż do czasu, gdy je czyn wielki swoim probierskim odkryje kamieniem... Te wojska niewidzialne za każdym odbieżeniem przez nas cnót narodowych i uczuć, w puste formy dzieciątek naszych wchodzą i straszliwie bo na wieki zdobywają naszą ojczyznę... Teraz pojmuję dlaczego naród, straciwszy narodowość, staje się zbiegowiskiem różnego rodzaju ludzi, bez charakteru, bez wodza — niezdolnych uczuć jednej najwyższej prawdy, ani do jednego przedsięwzięcia sił nabierać...

Straszliwa przyszłość!". Ale „przeciwko tym wojskom nie ojczystym lub nie katolickim mamy broń doskonałą... Sakramentalne podniesienie duchów w małżeństwie duchowem Chrystusa zdobywa nam Święte pokolenie... w ojczystym duchu małżonków złączy, podniesie — i od napadu obcych, niegodnych jeszcze ciała polskiego ohroni",

Glossą do tych pomysłów są notatki w „Raptularzu" (wyd. lwowskie, X, 561-7), gdzie poeta dostrzega w życiu polskiem „różne trucizny i tony nie nasze", n. p. „Ukraińszczyznę w poezji"; kiedyindziej zaś z rozpaczą woła: „Strach, ile u nas już ruskich!". Stwierdza również: „Zapach żydowskiego ciała często ducha żydowskiego sprowadza, tak lekki związek jest harmonizujący ducha z ciałem". S. C.

NOWE KSIĄŻKI

Forst-Bataglia Otto dr. *August Poniatowski und der Ausgang des alten Polenstadtes.* Facs. i 16 reprodukcji obrazów. Berlin (1927). Nakładem Paul Franke (tom XVII bibl. historji kultury „Menschen, Voelker, Zeiten"). Str. 394 w oprawie (cena 3,80 Rmk.).

Kleiner Juljusz. Juljusz Słowacki. Dzieje twórczości, t. III z 6 ilustr. Wyd. II. Lwów 1928. Zakład Nar. im. Ossolińskich.

Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszły książki:

Bobrzyński Michał. Dzieje Polski w zarysie. Wyd. II uzupełn. 2 tomy.

Mickiewicz Wład. Pamiętniki. T. II (1822—1870). Str. 441.

Perzyński Włodz. Lekarz miłości. Komedja.

Baranowski Wojciech. Gaudeamus. Powieść.

Łubieński Henryk. Zwycięzca. Powieść.

Gardecki Józef. Było nas trzech. Powieść.

Łopalewski Tadeusz. Betleem Ostrobramskie. Misterium. Wilno 1928. Bibl. Źródeł Mocy.

Giloteaux Paulin ks. Anioł Karmelu. (Sw. Teresa od Dz. J.). Tłum. Z. Rieff. Watsz. 1927. Księg. Kroniki Rodzinnej.

Belmont Leo. Pod gilotyną. Tragedja śmierci pani Dubarry. Powieść. Inst. wyd. Renaissance.

Marja, Królowa Rumunji. Głos na szczytach. Powieść. Przeł. Zuzanna Rabska. Renaissance.

Tołstoj Leon. Anna Karenina. Powieść. 4 tomy w dwóch. Bibl. dzieł wyb

Cuthbert R. P. Żywot św. Franciszka z Assyżu. Przekład autor. Anny Szotowej. Poznań 1927. Str. 408.

Relidzyński Józef. *Viola d'amore.* Poemat romantyczny. Ilust. St. Biedrzycki.

Maliszewski A. i Sebyła Wł. Poezje. Warsz. 1927. F. Hesick.

Gąsiorowski Wacław. Rok 1809. Powieść. 2 tomy. Warsz. 1928. Dom Książnicy Polskiej.

Przegląd Współczesny. Kraków 1928. Styczeń.

Wojciechowska Marja dr. Z dziejów książki w Poznaniu w XVI w. Poznań 1927. Fiszer i Majewski. Str. 360 i plansze.

Dobrowolski Tadeusz. Studja nad średniowiecznem malarstwem ściennem w Polsce. Poznań 1927. Fiszer i Majewski. Str. IX i 168. Wiele reprodukcyj.

Krzesiński Andrzej ks. dr. Prof. Un. W obronie świata transcendentnego. Poznań 1927. Fiszer i Majewski. Str. 160 i IV.

Wojciechowski Zygmunt Doc. uniw. pozn. O ustroju szczepowym ziem polskich. Uwagi krytyczne. Poznań 1927. Fiszer i Majewski. Str. 63.

Gdańsk. Przeszłość i teraźniejszość. Praca zbiorowa pod red. Stanisława Kutrzeby. Z mapą, 181 i 10 tabl. Str. 479.

Breyer Stan. Religja absolutna, czyli polska filozofja religijna w nowem oświetleniu. Kraków 1927. Str. 110.

Boy-Żeleński. Flirt z Melpomeną. Wieczór 7. Warsz. (1927). Gebethner i Wolff. Str. 333.

Birkenmajer Józef. Poszumy Bajkału. Poezje. Zakopane 1927. J. Zwoliński.

Wassermann Jakób. Maski Erwina Reinera. Powieść. Wyd. J. Renaissance.

Bang Herman. Michael. Powieść. Przełożył F. Staff. Renaissance.

Grabiański Aleks. dr. Z zagadnień polityki Europy wschodniej. Spór o Albanję—Wenecja i wschodni Adrjatyk. Warsz. 1927. Str. 22.

Niesiołowski Andrzej dr. Metody walki społecznej. Poznań 1928. Fiszer i Majewski. Str. 20.

Ładzina Wanda. Ratujmy rodzinę! Warsz. 1927 Wyd. ks. Pallotynów.

Dziesięciolecie Pracy Nar. Organizacji kobiet w Łodzi. Łódź 1928.

Świątkowski Wacław. Płockie i południowa Lubelszczzzna. Warsz. 1927. Str. 80 z ilustr.

Thugutt Stanisław. W obronie parlamentaryzmu. Warsz.—Wilno (1928). L. Chomiński. Str. 147.

Kiniorski Marjan. O świadectwo prawdzie. List do przyjaciela. Warsz. 1928. Skład gł. u Gebethnera i Wolffa. Str. 16. (cena 60 gr.).

Dzień sądu nad hetmanem ludu. Zdemaskowanie Wiktora Kulerskiego. Toruń. Str. 63.

Ruch Literacki nr. 10 (grudzień).

Szaniawski Jerzy. Łgarze pod „Złotą kotwicą". Warsz. 1928. F. Hoesick.

Iłłakowiczówna Kazimiera. Zwierciadło nocy. Poezje. Warsz. 19 8. J. Mortkowicz.

Boy-Żeleński. Plotki, plotki. Warsz. (1928). Bibl. Polska. Str. 209.

Przegląd Filozoficzny. Warsz. 1927. Zesz. II-III.

Kalendarz Gazety Warszawskiej na r. 1928.

NA MARGINESIE

Okazało się według statystyki zgłoszonych list wyborczych że mamy w kraju, jeśli się zważy że niektóre listy powstały ze zblokowania, 38 stronnictw. Za poprzednich wyborów było list 20. Ilość grup politycznych zwiększyła się conajmniej o 75%. „Głos Prawdy" stwierdza, że fakt ten świadczy „nie o konsolidacji sił społecznych, a (lecz) o rozproszeniu". I jest z tego bardzo zadowolony. Stwierdza, że list komunistycznych wysunięto 10 (lewica chłopska i robotnicza). Sami ukraińcy i żydzi wystawili list 13. „Nie trzeba być prorokiem — pisze ten dziennik — by zrozumieć, że parlament tak skompletowany stanie w rażącej dysproporcji sił do zadania gwaranta ciągłości życia Państwa". Jest więc rozbicie i rozkład. A dalej: „Ktokolwiek biada z przyczyny, iż ten układ stwarza zgoła wyjątkową sytuację Marszałka w Państwie, blada nad szczęśliwym losem naszej Ojczyzny". Zwracaliśmy już niejednokrotnie uwagę na dwuznaczność roboty jakiejś organizacji, znajdującej wyraz w cynicznej obłudzie tego pisma, nie umiejącej ukryć szyderstwa.

*

Pewien polityk w rozmowie z ziemianinem, ubiegającem się o mandat „współpracy z rządem" (jakby cały Sejm nie był do tej współpracy powołany), wyraził zdziwienie, co go skłoniło do tak poufnego z radykałami stosunku. Konserwatysta niejasne tłomaczenie, że musiał to zrobić, zamknął słowami:

— To trudno i darmo!...

A polityk:

Że to było trudne, w to wierzę, ale darmo, w to nie.

*

W prasie „sanacyjnej" ukazała się odezwa „Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem". Wśród licznych podpisów osobistości naogół niezbyt znanych, dwa nazwiska zwracają uwagę, jako symboliczne: p. Warchoł i p. Mojżeszowicz.

*

Podobno... „blok sanacyjny" przystępuje do wyborów z następującem hasłem: „Precz z partyjnictwem! Sejm nie powinien zajmować się polityką!... Od tego jest armja...".

*

W nowym tygodniku „Reflektor" (jakaś efemeryda sanacyjna) program pisma podany jest w artykule p. t. „Chcemy pomóc Marszałkowi", a ten artykuł streszcza się w zdaniu końcowem: „Kto umie patrzeć niezaślepionem okiem, ten wie, że Marszałek Józef Piłsudski jest Człowiekiem Danym od Boga. I kto pomaga Marszałkowi — ten — wierzymy — pomaga zmęczonemu Bogu". Przetarłszy niezaślepione oko, czytelnik pyta: czy gdyby nie to zrównanie, sanatorzy pisaliby Boga przez dużą literę?

*

Ilustracje nasze powinnyby przynajmniej na pewien czas pozwolić odpocząć naszym oczom znużonym jednostajnością niedoli. Bez przerwy i końca ciągle te same figury, które już tak pamiętamy, że moglibyśmy je narysować ołówkiem wetkniętym między palce nóg, ciągle nagie i półnagie kobiety z frontu i z tyłu, ciągle „najświetniejsze gwiazdy filmowe", ciągle aktorki w najrozmaitszych położeniach, z ostremi lub rozwartymi kątami nóg. Pod jednym z obrazków czytamy: „Artystka teatru Słowackiego w Krakowie ma pasję do książek i w wolnych chwilach czyta". Inna przedstawiona jest, jak pomaduje sobie usta, inna jak wygląda z odwrotnej strony medalu. Zresztą chodzi tu nie tylko o odpoczynek naszych oczu, ale o obawę, ażeby nam nie kazano oglądać takich szczegółów życia bohaterów i bohaterek ilustracyj, które powinnyby bezwzględnie pozostać ich tajemnicą.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł.9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM